PD1668/IV

Cena 1 zł

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI. Warszawa, 27 lutego 1955 r. Nr 8 (482)

BIBLIOTEKA INSTYTUTU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

CW 9013

*DOROTA PODLESKA*

# „ŻYCIE JEZUSA CHRYSTUSA"

*„A panowania Augusta i Tyberiusza — a więc w czasie ściśle określonym — żył pewien człowiek; jest to fakt niezaprzeczalny. Znali Go wszyscy: był pracownikiem fizycznym, cieślą, za uchem nosił wiór — symbol swego zawodu. Pracował przy warsztacie, posługiwał się heblem i młotem. Chadzał jeszcze dziś istniejącymi drogami, jadał chleb i oliwki, niekiedy przysmak swego narodu — rybę; wieczorami odpoczywał na macie z sitowia lub w hamaku ze sznurków; często upadał ze zmęczenia, był człowiekiem ściśle związanym ze społeczeństwem i podobnym do każdego z nas.*

*A jednak wypowiadał słowa niezwykłe, zdumiewające: mówił, że jest Mesjaszem, że przyszedł, by dać świadectwo Opatrzności, że przez Niego naród wybrany zyska sławę i doskonałość; a jeszcze dziwniejsze było to, że podawał się za Syna Bożego" (Daniel-Rops, „Dzieje Chrystusa").*

Człowiek i Bóg w jednej osobie — to było prawie nie do przyjęcia dla współczesnych Chrystusowi. A i dziś fakt ten sprawia, że dla wielu postać Chrystusa wymyka się wszelkim konkretom. Trudno im nieraz umieścić Go w konkretnych warunkach historycznych, w określonych sytuacjach, na tle stosunków panujących w pewnym określonym środowisku, w pewnym określonym czasie. Skłonni są raczej uznać Go za ucieleśnienie ideałów religijnych, za wytwór ludzkiej fantazji. Dlatego tak często spotykamy się z zarzutem, że Chrystus nie istniał nigdy, że to jest tylko mit i legenda. Krytyka racjonalistyczna i liberalna, która poszła tą właśnie drogą, usiłuje więc przede wszystkim obalić historyczność Ewangelii, które są najważniejszym źródłem naszych wiadomości o Chrystusie.

Dzisiaj wartość historyczna Ewangelii jest udowodniona. Coraz rzadziej zaprzecza się ich autentyczność. Nauki historyczne i najnowsze odkrycia z zakresu biblistyki pozwalają ustalić datę powstania Ewangelii na pierwszy wiek po Chrystusie (lata 51—96). Przeczy to twierdzeniu, że księgi Nowego Testamentu powstały dopiero w drugim wieku jako anonimowe dzieło ulegającej halucynacjom zbiorowości chrześcijan.

Nie przeczą również historyczności Ewangelii drobne różnice w tekstach Ewangelii synoptycznych. Wręcz przeciwnie — uważa się je za potwierdzenie autentyczności badanych tekstów. Trzej synoptycy omawiają ten sam temat, podobny jest układ ksiąg, całych zdań czy poszczególnych wyrażeń. Mimo to nie brak różnic w tekstach zupełnie paralelnych. Różnice te mogą być tylko słowne, ale nieraz sięgają głębiej. Kościół jednak wiernie przekazał nam słowa ewangelistów, nie upiększając ich i nie pomniejszając. Ewangelie są dokładnym odbiciem katechezy apostolskiej i ich wiarogodność jest powszechnie uznana.

Ewangelie dostarczają nam najwięcej wiadomości o Chrystusie. Czy można je zatem nazwać biografiami? Na to pytanie należy odpowiedzieć negatywnie. Ewangelii nie można traktować jako dzieła, *które podaje najważniejsze fakty z życia jakiejś osoby, z uwzględnieniem dat, perspektywy historycznej i stosunku opisywanej osoby do otaczającego ją świata*, a te właśnie warunki powinna spełniać biografia. Ewangelie to raczej zbiór *dicta et facta Domini*, który miał być pomocą w duchowym kształtowaniu wiernych. Ewangeliści troszczyli się głównie o przekazanie nauki, traktując ubocznie chronologię i historię. Mimo to Ewangelie zawierają tyle materiału, że współczesnemu historykowi pozwoli to na powiązanie go w sposób pragmatyczny z zachowaniem praw rozwoju, czyli na kompozycję biografii.

Materiał potwierdzający i uzupełniający zawarte w Ewangeliach wiadomości o życiu i działalności Jezusa znajdziemy w źródłach pozaewangelicznych, tak chrześcijańskich, jak i niechrześcijańskich. Do pierwszych zaliczyć należy pozostałe księgi Pisma Świętego Nowego Testamentu i tradycję. Pewne wiadomości — oczywiście z zachowaniem daleko idącej ostrożności — można także zaczerpnąć z niektórych wcześniejszych apokryfów. Wypowiedzi o Chrystusie, zawarte w źródłach żydowskich, są pełne złośliwości i dążą do zdyskredytowania Jezusa i chrześcijan. Nieliczne wzmianki o Jezusie można znaleźć u Józefa Flawiusza i u pisarzy rzymskich: Pliniusza Młodszego, Tacyta i Swetoniusza. Do biografii Chrystusa nie wnoszą one jednak niczego nowego.

Obraz z XIV w. znajdujący się w Pradze, w Rudolfinum.

Ważnym źródłem, którego nie można pominąć, jest to, co Renan nazwał „piątą ewangelią" — znajomość Ziemi Świętej. Geografia to jedno ze „szczudeł historii" i pisząc biografię nie można o niej zapomnieć.

Wszystkie te źródła wykorzystał Giuseppe Ricciotti pisząc swe „Życie Jezusa Chrystusa" *).

*

Ricciotti, profesor historii chrześcijańskiego Wschodu i języków orientalnych na uniwersytecie rzymskim, ma za sobą długie lata studiów. Jego doskonałe przygotowanie historyczne, filologiczne i wreszcie teologiczne znalazło swój wyraz w omawianym dziele. Ojczyznę Jezusa dokładnie poznał podróżując po Bliskim Wschodzie, a znajomość wielu języków, tak starożytnych, jak i współczesnych, pozwoliła mu przestudiować wiele źródeł, na których potem oparł się w swej pracy. Umożliwiło mu to stworzenie dzieła o nieprzeciętnej wartości. Wśród wielu prac o życiu Chrystusa jest ono uznane przez krytykę zarówno naukową, jak i literacką za wielkie osiągnięcie w tej dziedzinie. Pisząc „Vita di Gesu Cristo" stosunkowo niedawno, bo w roku 1941, autor miał możność wykorzystać najnowsze odkrycia i badania. Dzięki temu jego praca zawiera niezwykle bogaty i szczegółowy materiał, a mimo to tworzy zwartą i jednolitą całość tak treściową, jak i kompozycyjną.

Praca Ricciottiego dzieli się na dwie części: pierwsza z nich jest „Wprowadzeniem" do właściwego opracowania „Życia Jezusa Chrystusa".

„Wprowadzenie" stara się zorientować czytelnika w całokształcie warunków, w jakich znajdowała się Palestyna w okresie Jezusa.

Zaraz na wstępie podaje autor krótką, ale treściwą charakterystykę geograficzną Ziemi Świętej. Rzuca to wiele światła na podróże Jezusa i Jego uczniów, pozwala umieścić opisywane zdarzenia na odpowiednim tle, ułatwia wreszcie zrozumienie wielu szczegółów, zarówno w faktach rzeczywistych, jak i w przenośniach czy porównaniach.

Wiele uwagi poświęca Ricciotti stosunkom politycznym, panującym w ówczesnej Palestynie. Władza Heroda i rządy namiestników, nienawiść Żydów do obcego jarzma i oczekiwanie Mesjasza, który ich wyzwoli — oto obraz, jaki kreśli Ricciotti. Na takim tle zrozumiały staje się stosunek Żydów do Mesjasza-Jezusa, który głosi coś zupełnie innego niż to, czego oczekiwali.

Z paragrafów poświęconych faryzeuszom i saduceuszom dowiadujemy się, jak powstały te ugrupowania, jaki był zakres ich działalności i wpływów oraz wzajemne stosunki. Po przeczytaniu staje się dla nas zrozumiały okrzyk Chrystusa: *Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze, że obmywacie kielich i misę z zewnątrz, wewnątrz zaś pełni jesteście zdzierstwa i nieczystości (Mt. 23, 25)...*

Niemniej szczegółowo omówiony jest zakres działalności kapłanów i Sanhedrynu. Autor zwraca szczególną uwagę na uprawnienia Wielkiej Rady, by tym mocniej podkreślić potem, że proces Chrystusa był przeprowadzony bezprawnie, wbrew wszelkim obowiązującym przepisom.

Zagadnieniem, które każdemu biografowi Chrystusa nastręcza niemałe trudności, jest chronologia. We „Wprowadzeniu" podaje Ricciotti różne koncepcje na ten temat, a wreszcie przedstawia swój własny pogląd, którego trzyma się ściśle omawiając poszczególne wypadki w ich następstwie chronologicznym.

Należy zaznaczyć, że większość tych wszystkich informacji zawiera się we „Wprowadzeniu", ale bardzo wiele nieraz zupełnie nowych spotykamy w części drugiej, w samym „Życiu Jezusa". Informacje te zebrane są niezwykle szczegółowo, a do wiadomości czytelnika podane są zawsze w odpowiednim momencie. Tłumaczą one użyte przez Chrystusa zwroty, przenośnie czy przypowieści. Sprawiają, że postać Jezusa staje się wyraźna, konkretna i związana z otoczeniem i epoką.

Tę właśnie epokę mamy po mistrzowsku nakreśloną przez Daniel-Ropsa w „Dziejach Chrystusa". Daniel-Rops to w pierwszym rzędzie historyk i w swojej pracy podkreślił przede wszystkim aspekt historyczny życia Jezusa. Uwzględnił przy tym nie tylko lokalne warunki, ale powiązał je z całokształtem dziejów ówczesnego świata. U Ricciottiego natomiast znajdziemy mniejszy wycinek historii. Wiąże się on ściśle z Chrystusem i Palestyną.

Ricciotti podszedł do zagadnienia bardziej teologicznie. Cała publiczna działalność Jezusa poświęcona była głoszeniu nowej nauki i na nią właśnie, na jej głębię, piękno, mądrość tak często zwraca on uwagę. Dlatego w swojej pracy przytacza więcej słów Jezusa niż Daniel-Rops. Znajdziemy tam również ich głęboką interpretację i świetny do nich komentarz. „Życie Jezusa Chrystusa" to nie tylko fakty z życia Jezusa, to również wykład Jego nauki. Autor zmusza czytelnika do zastanowienia się, do refleksji nad takimi zagadnieniami jak np. miłość bliźniego, wyrzeczenie się wszystkiego dla Chrystusa, zdobywanie i budowanie w sobie Królestwa Bożego.

Zagadnieniem, które przewija się przez całą książkę i jest wyraźnie uwypuklone, jest posłannictwo mesjańskie Chrystusa. Rola Chrystusa-Mesjasza nie była w żydowskim społeczeństwie łatwa. Inne były wyobrażenia Żydów, a inny był cel Jezusowego przyjścia na świat. Żydzi, *zwłaszcza zapaleni Żydzi-mesjaniści nie mogli pogodzić się z myślą, że ich król-mesjasz umrze zabity, podczas gdy to On winien pozabijać wrogów Izraela. Nie mogli się zgodzić i z tym, że świtę Jego stanowiło kilku nędznych biedaków, a nie butni zwycięzcy, którzy mieli upokorzyć pogańskich gojim!* Należało więc owe fałszywe mniemania sprostować i stopniowo wyjaśnić. *Jezus jasno i otwarcie przyznawał, że jest Mesjaszem, ale czynił to stopniowo; najpierw ogłosił Królestwo mesjańskie, potem nielicznym tylko zwierzył swą tajemnicę, a na koniec podał ją do wiadomości wszystkim zupełnie otwarcie.* Ta konieczność stopniowego objawiania mesjańskiego posłannictwa Jezusa często wyjaśnia Jego postępowanie, i na to właśnie Ricciotti położył bardzo silny nacisk.

Swoje nadprzyrodzone posłannictwo potwierdzał Jezus cudami. Ewangelie podają ich wiele, ale nie wszystkie. A każdy Jego cud — będąc dowodem Jego Boskiej mocy — jest jednocześnie dowodem Jego ogromnej miłości ku ludziom. Otaczał Go zawsze tłum nieszczęśliwych, chorych, a On nikomu nie odmawiał, „przeszedł przez ziemię dobrze czyniąc" Żeby doznać cudu, wystarczyło jednego — wiary. Poszczególne cuda opisuje Ricciotti bardzo szczegółowo: podaje ich czas, okoliczności, reakcję tych, którzy byli ich świadkami. Podając niejednokrotnie usiłowania racjonalistycznego wyjaśnienia cudów Chrystusa, mocno jednak podkreśla ich charakter nadprzyrodzony.

Królestwo Boże, Królestwo mesjańskie, które głosił Chrystus, było czymś zupełnie innym niż królestwo Izraela. Lud oczywiście dawno spostrzegł, że Jezus nauczał ich „nie jak uczeni w Piśmie"; słyszeli, że przemawiał „jako ten, który ma władzę" i ustanawiał zasady sprawiedliwości i miłosierdzia.

Pierwsze ogólne sformułowanie praw nowego Królestwa, publiczne wyjawienie ich Apostołom i szerokim rzeszom słuchaczy nastąpiło w Kazaniu na Górze. Trudno się powstrzymać od przytoczenia pięknego porównania, którym Ricciotti je charakteryzuje.

*Kazanie na Górze porównać można do poważnej symfonii, w której już od pierwszych taktów, bez żadnego wstępu, a przy równoczesnym brzmieniu wszystkich instrumentów, słychać doskonale zasadnicze motywy całości. A są to motywy jak najbardziej nieoczekiwane, nie słyszane dotąd w świecie, całkowicie różne od wszystkich tematów wykonanych kiedykolwiek przez inne orkiestry — a mimo to brzmiące jak najbardziej żywo i naturalnie dla dobrze przygotowanego ucha. Bo istotnie aż do Kazania na Górze wszelkie orkiestry ludzkie, niezależnie od wariacji drugorzędnych, głosiły unisono, że błogosławieństwem dla człowieka jest szczęście, że sytość pochodzi z zaspokojenia, zadowolenie jest skutkiem spełnienia pragnień, a cześć rodzi się z okazywanego szacunku. Natomiast muzyka Kazania na Górze już od pierwszych taktów głosi, że błogosławieństwem dla człowieka jest być nieszczęśliwym, że sytość pochodzi z uczucia głodu, zadowolenie z niespełnionych pragnień, a cześć z nieuszanowania i pogardy — wszystko to w odniesieniu do przyszłej zapłaty.*

Wiele stron swojej pracy poświęcił Ricciotti Kazaniu na Górze, a w końcu głos oddał Ewangelii, której prostoty, a jednocześnie głębi i mądrości nie może zastąpić żadne ludzkie pióro. Daniel-Rops, historyk, potraktował kazanie na Górze niemal na równi z innymi faktami i poświęcił omówieniu go zaledwie dwie strony; Ricciotti, historyk i teolog, zatrzymał się nad nim dłużej i ukazał całą bogatą problematykę Kazania.

W Kazaniu na Górze Jezus mówił o warunkach duchowych, wymaganych od tych, którzy chcieliby dostać się do Królestwa Niebieskiego, ale o samym Królestwie, jaka będzie jego istota, w jaki sposób ono powstanie i umocni się, powie Jezus później Posłużył się do tego celu przypowieścią, która jest *jasna, a jednocześnie niejasna, jest bardzo wymowna, a jednocześnie wiele przemilcza. Jeśli jej ktoś słucha z umysłem spokojnym, nie wzburzonym, jest zrozumiała i wymowna, kto zaś spogląda na nią podejrzliwym okiem i z uprzedzeniem, temu ona nic nie mówi lub mówi coś wręcz przeciwnego niż powinna.*

Przypowieść, która tak wiele miejsca zajmowała w nauczaniu Chrystusowym, to dla Ricciottiego oddzielne zagadnienie, któremu poświęca on cały rozdział Analizuje przypowieść z punktu widzenia rodzaju literackiego, zbija argumenty niektórych krytyków, którzy widzą w niej element „zaciemniający" naukę Jezusa.

I znowu warto przytoczyć słowa Ricciottiego, które zwięźle charakteryzują ten sposób nauczania. Przypowieść Jezusa *jest prosta i dosadna. Wychodząc z bardzo skromnych realiów, jasno i dobitnie wyjaśnia najwyższe idee. Jest łatwa do zrozumienia dla ludzi nieuczonych, a równocześnie może być przedmiotem rozważań badacza. Pod względem formy pozbawiona jest wszelkiej sztuczności, ale treścią swoją przewyższa wszystkie tego rodzaju chwyty. Nie przeraża, ale przekonuje, nie tylko zwycięża, ale i zdobywa.*

Przechodząc do szczegółowego omówienia pewnych przypowieści, Ricciotti nie ogranicza się do podania tylko ich tematyki czy przytoczenia ich w brzmieniu oryginalnym, ale daje wnikliwą interpretację słów Chrystusowych.

Wyszedłszy z życia ukrytego, przez cały czas swej działalności publicznej Jezus jest otoczony ludźmi. Są wśród nich oddani Mu uczniowie i przyjaciele, są wrogowie usiłujący przychwycić Go na każdym słowie, są ci, którzy czekają na jakiś cud, i ci, których wdzięczność za doznane dobrodziejstwa zatrzymała przy Nim. Poza nielicznymi chwilami samotności Jezus występuje zawsze wśród mniej lub więcej licznych tłumów. Pisząc o Nim, wiele uwagi poświęca Ricciotti ludziom z Jego otoczenia. Matka Jezusowa, św. Jan Chrzciciel, św. Piotr i inni apostołowie, Nikodem czy Samarytanka, Judasz czy członkowie Sanhedrynu to wprawdzie postacie drugoplanowe, niemniej jednak rysujące się bardzo wyraźnie i żywo. Poznajemy nie tylko ich pochodzenie, stosunki rodzinne, zajęcia, ale i ich właściwości psychiczne, motywy ich postępowania, narastające w nich stopniowo zrozumienie posłannictwa Chrystusowego. Z pozornie niewiele mówiącej wzmianki autor potrafi wysnuwać wnioski, które rzucają wiele światła na sylwetkę danej osoby.

*

Ewangelie biografiami nie są, ale wykorzystując zawarte w nich wiadomości, odpowiednio je zestawiając i komentując, wysnuwając z nich wnioski — a wszystko pod kontrolą rozumnej, nieuprzedzonej krytyki — na ich podstawie biografię stworzyć można, oczywiście o tyle, o ile jest to możliwe w odniesieniu do Tego, którego postać nieskończenie przewyższa możliwości poznania ludzkiego. Jak widać choćby tylko z tego pobieżnego przeglądu „Życia Jezusa Chrystusa", Ricciotti stworzył dzieło odpowiadające warunkom stawianym biografii, i to dzieło o wielkiej wartości zarówno naukowej, jak i literackiej.

Mogłoby się wydawać, że praca, która porusza tak wiele zagadnień, podaje tak wiele wiadomości, omawia tyle szczegółów, nawet przy takim temacie, który porusza zagadnienia interesujące chyba każdego, będzie nużąca i ciężka. Tymczasem jest wręcz przeciwnie Ricciotti mówi w przedmowie, że „odważył się naśladować znany powszechnie „spokój ewangelistów kanonicznych" ale równocześnie pisze z gorącą żarliwością która porywa czytelnika i każe mu wrócić do tej książki nie jeden raz

*Dorota Podleska*

*) G Ricciotti „Życie Jezusa Chrystusa", Warszawa, PAX, 1954.

D/1759/52

HENRYK KMITA

# Nad książkami o „CZŁOWIEKU Z KARABINEM"

*„...Nie znieśliby tych straszliwych warunków dla medalu, dla tytułu, albo pod groźbą: i s t n i e j e  s n a d ź  i n n y,  b a r d z i e j  w z n i o s ł y  b o d z i e c"*

L. TOŁSTOJ

KIEDY będziesz zrywał kartkę z kalendarza z dnia 23 lutego nie wyrzucaj jej od razu Zanim wyrzucisz, przeczytaj u dołu krociutką notatkę o pewnym wydarzeniu historycznym, szczególnej — jak się później okazało — wagi Przeczytaj więc tę notkę i przypomnij, czy ty albo ktoś z twoich najbliższych, twoich przyjaciół, nie wiąże swego ocalenia od śmierci w hitlerowskim obozie, w oblężonym mieście z tym właśnie wydarzeniem...

Przypomnij sobie również, czyja ręka wypisała na ścianie rozwalonego domu do którego wróciłeś i który wspólnymi siłami odbudowałeś, dwa słowa: „*Min niet*".

Ktoś zupełnie ci nieznany, może chłop znad Wołgi, może metalowiec z Moskwy, może student z Gruzji wlał ci tchnące spokojem słowa cyrylicy i poszedł dalej. Gnać przed siebie znienawidzonego wroga. Nieznany, a jednak w jakiś sposób — może przez tę dziwną dwusłową korespondencję — bliski ci człowiek... Człowiek z karabinem...

A teraz chodź! Zaprowadzę cię do biblioteki.

Niech przemówią pisarze... Niech opowiedzą nam o niezwykłych dziejach obywatela niezwykłego kraju.

O dziejach człowieka z karabinem.

1920

WIĘC może najprzód zajrzymy do pięknej książki: Aleksego Tołstoja — „Chleb". Jest tam oddany sprawie rewolucji żołnierz, Iwan Gora, który już w niedalekiej przyszłości ma uczestniczyć w zdobyciu Carycyna, ale w tej właśnie chwili pełni wartę w Smolnym. Stojąc u drzwi gabinetu Lenina, przemarznięty i zgłodniały, rozmyśla Gora: „Porwali się do wielkiej sprawy: taki ogromny kraj podźwignąć z ciemnoty, całą władzę, całą ziemię, wszystkie fabryki, wszystkie bogactwa oddać pracującym... daleka droga, czy starczy sił, czy starczy życia?".

Rozmyślania przerywa zjawienie się Lenina, który zwraca się do wartownika, żeby sprowadził montera, bo telefon — rzecz w tych niezwykłych dniach nader ważna — odmówił posłuszeństwa.

Wtedy Iwan Gora, który z fachu jest metalowcem, powiada:

„Montera trudno będzie teraz znaleźć, Włodzimierzu Iljiczu, ale pozwólcie, sam popatrzę".

To powiedziawszy o d s t a w i ł  k a r a b i n i wziął się do roboty.

Kiedy po pewnym czasie Lenin, zajęty swą wytężoną pracą, oderwał się od niej i zapytał Gorę, co z telefonem, odpowiedź brzmiała:

„Zaraz naprawimy. Nie ma nic niemożliwego".

I tu — jak czytamy w książce — „Włodzimierz Iljicz po chwili milczenia powtórzył: Nie ma nic niemożliwego, uśmiechnął się...".

Czyż trzeba ci wyjaśniać głęboką symbolikę tej prostej sceny?

Czyż nie mówi ci ona wyraźnie o szczególnej gotowości radzieckiego człowieka do pracy i budowy swej ojczyzny, jak również do obrony jej nienaruszalności? Po zdobyciu Carycyna, po wypędzeniu interwentów, „białych", słowem: po rozprawieniu się z wszystkimi wrogami rewolucji — Iwan Gora zdjął, jak wiemy, swój karabin i energicznie zabrał się do swych pięciolatek... Aż nadszedł rok...

1939

NIEŁATWA to sztuka w ciągu dwudziestu lat odrobić olbrzymie zacofania. Nie łatwa i nie prosta. Ale jej dokonano Prócz osiągnięć gospodarczo - kulturalnych powstały kadry wykwalifikowanych oficerów, jakże niezbędnych wobec zbierającej się nad Europą burzy. W tym czasie było rzeczą jasną, że Hunnowie z Zachodu będą próbować jeszcze raz uderzyć na Związek Radziecki, który był solą w oku ściśle określonych kół nie tylko na kontynencie. Ale zanim ruszył Zachód, zakotłowało się na Dalekim Wschodzie.

W „Towarzyszach broni" Simonowa pokazane są dzieje zbrojnego konfliktu radziecko - japońskiego.

W Europie toczy się już wojna, Hitler podbija kolejno różne kraje. Oficerowie i żołnierze, skierowani na Daleki Wschód dla stłumienia agresji japońskiej, zdają już sobie sprawę, że działania, w których biorą udział — to zaledwie początek ich zmagań z wrogiem. Nie zmyli ich wieść o pakcie o nieagresji z Niemcami Znane im są losy paktów, zawieranych przez Hitlera. Radziecki człowiek na długo weźmie teraz do ręki karabin. Tym razem będzie bić się już nie tylko za swój kraj. „Daleka droga, czy starczy sił, czy starczy życia?..."

1941

I oto Niemcy są na szosie pod Wołokołamskiem, sto kilkadziesiąt kilometrów od Moskwy, serca zagrożonej Ojczyzny człowieka radzieckiego. Cóż zdecydowało o tym, że uzbrojone po zęby wojska hitlerowskie Moskwy nie zdobyły? Przypadek? Nie! Bohaterstwo żołnierza radzieckiego? Tak! Ale — jak powiada Baurdżan Momysz-Uły — bohaterstwo to nie jest dar magazyniera, który wraz z płaszczem wydaje kwit na nieustraszoność, zaznaczając w spisie: „otrzymał"!

Dowódca batalionu słynnych panfiłowców, Kazach z pochodzenia, starszy lejtnant Baurdżan Momysz-Uły, dobrze ci znany z powieści Aleksandra Beka, to nie jest postać zmyślona. Tacy jak on, a zresztą i on sam, prowadzili żołnierzy w bój. No dobrze, a cóż tak szczególnego cechowało chociażby Baurdżan Momysz-Uły? Znajomość taktyki wojennej? Nieomylność w wydawaniu rozkazów? Przestrzeganie zasad dyscypliny? Są to przecież rzeczy zasadnicze. Szczególne było to, że dowódcy typu Momysz-Uły widzieli w żołnierzu nie tylko wykonawcę rozkazu, ale człowieka. Człowieka, którego wezwanie Ojczyzny oderwało od jego codziennej pracy, którego nie tylko należy nauczyć obchodzić się z bronią, nie tylko strzelać i atakować...

„Ojczyzna — to ty! — mówił żołnierzom Baurdżan Momysz-Uły — Zabij tego, kto pragnie zabić ciebie! Dla czyjego to dobra? Dla twojego, żony twojej, twojego ojca i matki, twoich dzieci!... Ja, wasz dowódca, chcę wypełnić nakaz naszych żon i matek, nakaz naszego narodu, chcę was poprowadzić do boju nie po to, byście polegli, lecz po to, byście żyli"!

„Nie odstępując od nakazów sumienia, obowiązku czy honoru ludzie wyzbywali się natarczywej, przygnębiającej myśli: u m r z e ć".

W zmaganiach z faszystowskim najeźdźcą radziecki człowiek z karabinem coraz bardziej upewniał się, że okrutna prawda wojny tkwiła nie w słowie: „umrzyj", lecz w słowie: „zabijaj".

Straszna to prawda, ale jakąż inną w tym czasie można jej było przeciwstawić?

Baurdżan Momysz-Uły z właściwym sobie żołnierskim humorem opowiada jeszcze, jak to Niemcy zawiedli się na swoim „murowanym" sojuszniku, przy pomocy którego zamierzali rozbić Armię Radziecką. Był to „generał Strach".

„A po siedmiu tygodniach, kiedy odparliśmy Niemców spod Moskwy, pobiegł za nimi również generał Strach. Wreszcie Niemcy zaznali — może po raz pierwszy podczas tej wojny — co to znaczy, kiedy komuś strach depcze po piętach".

A pod Stalingradem z generałem Strachem sprzymierzył się i generał Mróz... Tak, pod Stalingradem...

1943

JEŚLIBY stwierdzić, że Stalingrad był dla młodego lejtnanta Saburowa szkołą miłości i nienawiści, byłoby to może szermowanie truizmami, ale jednocześnie — niezaprzeczalna prawdą. Ten niedoszły — z powodu wybuchu wojny — nauczyciel historii miał za sobą trzy i półletnią praktykę frontową, ale poza sztuką wojowania miał o życiu niewielką wiedzę. Chciał uczyć, stworzyć jakieś własne życie — wojna przekreślała te plany. Uczył się więc nienawiści do wroga, zdobywał odznaczenia. Trafił i do Stalingradu, gdzie był jednym z uczestników największej rozprawy z wrogiem. Dobrze więc zrozumiałe jest, że rodziła się w nim coraz większa nienawiść do najeźdźcy, który milionom ludzi zakłócił ich spokój. Ale miłość? Chyba miłość do Ojczyzny. Oczywiście, patriotyzm był głównym motorem poczynań Saburowa! Ale nie jedynym. Wygląda to na paradoks, ale jego nienawiść do wroga podsycana była przez uczucie miłości do dziewczyny, którą poznał w najtrudniejszych chwilach walki. Dziewczyny, która miała zostać jego żoną. Saburow czerpał z tej miłości ogromną siłę do przetrwania, wiarę w zwycięstwo. Saburow, który zawsze skrycie marzył o jakiejś wielkiej miłości, spotkał ją właśnie tu, w huku bomb, w okolicznościach — zdawałoby się — najmniej sprzyjających rozwinięciu się delikatnego kwiatu ludzkich uczuć. Na przekór zniszczeniu, na przekór wojnie... Stąd właśnie płynie głęboki humanizm „Dni i nocy" Simonowa, książki o ludziach, którzy walczą w obronie pokoju, w obronie szczęścia osobistego, w obronie najszerzej pojętej wolności...

I dlatego zwyciężają.

1944

ALE zwycięstwo nie przychodzi za darmo... Nie każdemu dane było dożyć jego chwili. Trzeba było płacić najwyższą ceną — życiem. Albo trzeba było płacić kalectwem, utratą zdrowia... Więc jakże ułożyć sobie życie po skończonej wojnie, jeśli wraży pocisk urwał nogę, a wilgoć ziemianki zniszczyła płuca? Czy można jeszcze myśleć o szczęściu osobistym? Może być poczucie spełnionego obowiązku, może być radość przetrwania wojny, może być wreszcie duma z przynależności do zwycięskiego narodu, ale szczęście?

Wojna jeszcze nie skończona. Przeszła tylko w ostateczną fazę likwidowania cofających się wojsk wroga. Więc jakże to? Żyć i nie brać udziału w triumfalnym pochodzie przez Europę, nie widzieć radosnych twarzy wyzwolonych z hitlerowskiej niewoli Rumunów, Węgrów, Czechów, Austriaków...

„Oczy Woropajewa były mokre od łez".

Ktoż to jest Woropajew? Dlaczego płacze? — zapytasz No, istotnie, zważywszy, iż był to pułkownik, który miał za sobą całą odyseję wojenną, w czasie której dokonał nie jednego i nie dwóch bohaterskich czynów, zdobył nie jedno i nie dwa odznaczenia, płacz ów jest zastanawiający Moment załamania psychicznego, wynikający z chwilowego poczucia własnej nieużyteczności Na zwycięskim froncie zostali przyjaciele, i nie tylko przyjaciele, bo i ktoś ukochany, a pułkownik Woropajew oddelegowany został na Krym — dla rekonwalescencji. A więc jakby odrzucony przez bieg wypadków — wrak ludzki... Niepotrzebny ojczyźnie, rezygnujący z miłości do kochanej kobiety. Cóż ojczyźnie z żołnierza - inwalidy, cóż kobiecie z męża - kaleki? O jakim więc szczęściu może tu być mowa?

A jednak powieść P. Pawlenki nosi tytuł „Szczęście". Czyżby ironia wobec człowieka, który nie potrafi już unieść karabinu?!

W tym samym czasie, co i Woropajew, na Krym zjeżdżali się różni przesiedleńcy, ewakuowane dzieci - sieroty, dziewczęta, które przeszły gehennę robót przymusowych w Niemczech, ranni żołnierze, ludzie rozłączeni z rodzinami, pozbawieni dobytku... Woropajew obserwując ich, przysłuchując się ich narzekaniom i skargom, zwolna zaczął zapominać o swych troskach, a jeśli nie zapominać, to odsuwać je na bok. Rodziła się w nim chęć dopomożenia tym wszystkim, jak i on, nieszczęśliwym, służenia im dobrą radą, niesienia ulgi... I oto w krótkim czasie Woropajew staje się w tym środowisku rozbitków *sui generis* mężem opatrznościowym, łagodzi spory między przybyszami a ludnością tubylczą, organizuje ich do pracy, a nade wszystko wlewa im do serca chęć życia... I już teraz wie, że nie jest wrakiem, ale kimś potrzebnym i użytecznym. Ginie smutek i apatia. Woropajew odnajduje swe nowe miejsce w społeczeństwie. Dotychczas bronił kraju, teraz na swym małym odcinku ożywia otępiałego przez cierpienia wojenne ducha narodu. Tak Woropajew dochodzi do swego szczęścia.

Będzie jeszcze miał tarapaty ze sprawami swego serca, jako że łatwiej poradzić innym niż sobie, ale i z tym się upora. Zresztą pomoże mu w tym ktoś bliski, ktoś, dla kogo szczęście Woropajewa jest szczęściem własnym...

Zamykamy pełną poetyckiego uroku i życiowej prawdy książkę Pawlenki o bohaterskim frontowcu Woropajewie...

Towarzyszy nam wizja człowieka radzieckiego, miłującego pokój i budującego dobrobyt swego kraju. Jeśli ktoś usiłuje przeszkadzać mu w tym budownictwie, człowiek ten bierze do ręki karabin i nie chybia...

*Henryk Kmita*

**Czołgi radzieckie wytyczały kierunek natarcia, przełamywały linie obronne Wehrmachtu, niosły wolność. Dzisiaj, w trzydziestą siódmą rocznicę powstania Armii Czerwonej pozdrawiamy bohaterskich żołnierzy radzieckich, którzy uwolnili nasz kraj od hitlerowskiego najeźdźcy.**

# ZAKOŃCZENIE STANU WOJNY Z NIEMCAMI

*ALFONS KLAFKOWSKI*

OSTATNIO opublikowane zostały cztery niezwykle doniosłe akty prawne względnie deklaracje, wytyczające na najbliższy okres rozwój zagadnienia niemieckiego. Są to następujące akty:

1) Oświadczenie rządu ZSRR w sprawie Niemiec z dnia 15 stycznia br.;

2) Dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o zakonczeniu stanu wojny między ZSRR i Niemcami z dnia 25 stycznia br ;

3) Oświadczenie rządu polskiego w sprawie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego z dnia 1 lutego br. oraz uchwała Rady Państwa w sprawie zakończenia stanu wojny z Niemcami z dnia 18 lutego br.;

4) Oświadczenie rządu czechosłowackiego z dnia 21 stycznia br. na temat zagadnienia Niemiec oraz dekret prezydenta Czechosłowacji o zakończeniu stanu wojny z Niemcami.

Wszystkie te akty dotyczą jednego zagadnienia, a mianowicie problematyki prawnej zakończenia stanu wojny z Niemcami. Właściwe ujęcie tego problemu należy poprzedzić kilku niezbędnymi wyjaśnieniami ogólnymi.

Z punktu widzenia prawa międzynarodowego należy rozróżnić dwa zjawiska, a mianowicie:

1) zakończenie działań wojennych, oraz

2) zakończnie stanu wojny.

Zakończenie działań wojennych na terytorium Niemiec nastąpiło ostatecznie dnia 8 maja 1945 r. na podstawie aktu bezwarunkowej kapitulacji wojsk niemieckich. Treść aktu bezwarunkowej kapitulacji dotyczy jedynie spraw wojskowych oraz obejmuje całą problematykę technicznego zakończenia działań wojennych. W ten sposób działania wojenne w Niemczech zostały zakończone, lecz akt bezwarunkowej kapitulacji nie zakończył stanu wojny z Niemcami.

Zakończenie stanu wojny stanowi odrębne zagadnienie. Ani rozejm, ani kapitulacja, ani bezwarunkowa kapitulacja nie kończą stanu wojny. Z punktu widzenia formalnego do tej pory stan wojny ulegał zakończeniu zasadniczo w traktacie pokoju. Stąd w traktatach pokojowych spotyka się niemal jednobrzmiącą formułę: „Począwszy od uprawomocnienia się niniejszego traktatu ulega zakończeniu stan wojenny".

W nauce prawa międzynarodowego rozróżnia się następujące sposoby zakończenia stanu wojny: traktat pokoju, faktyczne nawiązanie stosunków pokojowych po zakończeniu działań wojennych, jednostronną deklarację państwa wojującego przyjętą w sposób milczący lub wyraźny przez drugą stronę, wreszcie aneksję państwa nieprzyjacielskiego. O pierwszej możliwości mówi umowa poczdamska, zapowiadająca zawarcie traktatu pokoju „który rząd niemiecki przyjmie, gdy powstanie rząd zdatny do tego celu". Ostatnia ewentualność została wykluczona, gdyż jedna z deklaracji berlińskich z dnia 5 czerwca 1945 r. wyraźnie przekreśla możliwość aneksji terytorium Niemiec przez mocarstwa okupacyjne.

Po tych wyjaśnienach wstępnych można przejść do analizy zagadnienia końca stanu wojny z Niemcami. Najlepiej dokonać tej analizy według dyspozycji dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z dnia 25 stycznia br. ze względu na precyzję prawniczą tego dokumentu. W konkluzjach tego dekretu ujęte zostały następujące trzy zagadnienia:

1) stan wojny między ZSRR a Niemcami zostaje zakonczony i ustanawia się między nimi stosunki pokojowe;

2) wszystkie powstałe w związku z wojną ograniczenia prawne w stosunku do obywateli niemieckich, którzy byli traktowani jako obywatele wrogiego państwa, tracą moc;

3) deklaracja o zakończeniu stanu wojny z Niemcami nie zmienia ich zobowiązań międzynarodowych i nie narusza praw i obowiązków Związku Radzieckiego, które wypływają z istniejących porozumień międzynarodowych miedzy czterema mocarstwami, dotyczących Niemiec jako całości.

Co oznaczają te konsekwencje prawne zakończenia stanu wojny z Niemcami? Należy te trzy punkty poddać analizie.

Nie można zrozumieć tego dekretu Rady Najwyższej ZSRR — w oderwaniu od oświadczenia rządu ZSRR w sprawie Niemiec, opublikowanego dnia 15 stycznia br. Oświadczenie to zawiera następujące konkluzje:

Po pierwsze — rzeczą najważniejszą i najpilniejszą dla uregulowania problemu niemieckiego jest rozwiązanie zadania przywrócenia jedności Niemiec. Aby zadanie to rozwiązać — konieczne są rokowania między Stanami Zjednoczonymi, W. Brytanią, Francją i ZSRR w sprawie przywrócenia jedności Niemiec w drodze przeprowadzenia wolnych wyborów ogólnoniemieckich. Rokowania takie utracą sens i staną się niemożliwe, jeżeli układy paryskie z 1954 r. będą ratyfikowane.

Po drugie — ZSRR utrzymuje dobre stosunki z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Rząd ZSRR jest także gotów unormować stosunki z Niemiecką Republiką Związkową. W obecnych warunkach unormowanie stosunków między ZSRR a Niemiecką Republiką Związkową mogłoby zarazem przyczynić się do lepszego zrozumienia wzajemnego i do poszukiwania bardziej skutecznych dróg, wiodących do rozwiązania sprawy przywrócenia jedności Niemiec.

Po trzecie — jeżeli układy paryskie z 1954 r. zostaną ratyfikowane, powstanie nowa sytuacja, w której ZSRR zatroszczy się nie tylko o dalsze umocnienie przyjaznych stosunków z Niemiecką Republiką Demokratyczną lecz i o to, by wspólnym wysiłkiem miłujących pokój państw europejskich przyczynić się do utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

W świetle tych konkluzji oświadczenia rządu ZSRR w sprawie Niemiec z dnia 15 stycznia br. dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o zakończeniu stanu wojny między ZSRR i Niemcami oznacza, że jest to krok prawny, torujący drogę nowym decyzjom politycznym. Zakończenie stanu wojny może stać się początkiem nowego etapu w stosunkach między ZSRR i Niemiecką Republiką Związkową. Oświadczenie Rady Ministrów Niemieckiej Republiki Demokratycznej analizujące postanowienia dekretu Prezydium Rady Nawyższej ZSRR stwierdza, że dekret ten jest nowym wielkim krokiem na drodze do pokojowego zjednoczenia Niemiec i przyznania całkowitej suwerenności całemu narodowi niemieckiemu. Rada Ministrów Niemieckiej Republiki Demokratycznej uważa, że dekret ten zmierza do tego, aby po odrzuceniu przez parlament w Bonn układów paryskich z 1954 r. utorować drogę do niezwłocznego nawiązania przyjaznych stosunków między całym narodem niemieckim a ZSRR. Dekret umożliwia Niemieckiej Republice Związkowej — jeśli ona tego pragnie — natychmiastowe nawiązanie normalnych stosunków z ZSRR, a po odrzuceniu układów paryskich — niezwłoczne podjęcie wspólnie z Niemiecką Republiką Demokratyczną przygotowań do przeprowadzenia wolnych wyborów ogólnoniemieckich. Te wybory z kolei stworzą podstawę do zawarcia traktatu pokoju z Niemcami a tym samym stworzą przesłanki do jak najszybszego wycofania wszystkich wojsk okupacyjnych z Niemiec.

Taka jest treść punktu 1 konkluzji dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z dnia 25 stycznia br. Taka jest treść zwrotu o dążeniu do ustanowienia stosunków pokojowych między ZSRR i Niemcami.

Konsekwencje prawne wynikające z punktu 2 dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR obejmują przede wszystkim obywateli niemieckich, którzy dotąd byli traktowani jako obywatele państwa wro-

(Dokończenie na str. 6)

# RAZEM PO SZEŚCIU WIEKACH...

Dziesiąta rocznica wyzwolenia Opolszczyzny jest wielkim świętem całego narodu polskiego, który doprowadził do spełnienia najbardziej patriotycznych dążeń ludu opolskiego.

Wyrazem zrozumienia doniosłości tej rocznicy była uroczysta konferencja zorganizowana w dniu 16 b.m. przez działaczy katolickich Frontu Narodowego w Opolu. Konferencji przewodniczył wikariusz generalny ks. prałat Michał Banach.

Przemówienia duchownych i świeckich działaczy katolickich i powzięta na konferencji rezolucja dowodzą zarówno coraz silniejszego związania Śląska Opolskiego z Macierzą, jak i dojrzałego stosunku do zadań stojących przed całym naszym narodem.

„*Mija oto 10 lat odkąd my na Śląsku* — stwierdził w swym przemówieniu O. Barnaba Stokowy, gwardian Klasztoru O.O. Franciszkanów na Górze św. Anny — *wraz z całą Polską jesteśmy tu własnymi gospodarzami i odkąd wkroczyliśmy w nowy okres życia narodowego i państwowego. Ziściło się, do czego lud śląski dążył przez 6 wieków. Cały historyczny Śląsk w granicach Państwa Polskiego! Wielkość tej dziejowej przemiany przeszła najśmielsze marzenia*".

Historia Śląska Opolskiego jest jeszcze jednym niezbitym argumentem, że wyzwolenie narodowe jest nierozerwalnie związane z wyzwoleniem społecznym. Na to zagadnienie zwrócił uwagę w swym przemówieniu Bolesław Piasecki.

„*Sprawy narodowej na Opolszczyźnie nie można oderwać od sprawy społecznej. Patriotyzm jest na lewicy. Kapitalizm stał się antynarodowy*". I dalej. „*W tym wielkim zwycięstwie historii dziesięciolecia Polski Ludowej, którym jest socjalistyczne budownictwo, leży jedynie realne i godne zabezpieczenie wzrostu stopy życiowej ludności Opolszczyzny*".

Następnym zagadnieniem związanym z historią Opolszczyzny jest fakt nie ulegający wątpliwości, że katolicyzm był najsilniejszym czynnikiem inspirującym ludność Opolszczyzny do walki o powrót do swej Ojczyzny.

„*Dzień powrotu Opola do Ojczyzny* — stwierdził Bolesław Piasecki — *był dniem włączenia wypróbowanej wiary tutejszej ziemi w żywotny organizm Kościoła katolickiego w Polsce. Wszyscy wiedzą, że walka o kontynuację prawdziwej, polskiej tradycji Śląska Opolskiego była walką historycznie nierozerwalną od przywiązania do religii katolickiej. Wśród przywódców walki o polskość Opolszczyzny znajdujemy przede wszystkim nazwiska wielu wybitnych księży polskich.*"

Działacze katoliccy zdają sobie w pełni sprawę z konsekwencji wypływających z faktu przywiązania ludności Opolszczyzny do religii katolickiej. Sprawa wychowania młodych kapłanów, odgrywających tak wielką rolę na tym terenie stała się przedmiotem dalszej analizy Bolesława Piaseckiego.

„*Chodzi o szeregi młodych ludzi, którzy by łączyli autorytet kapłańskiego powołania z twórczym oddziaływaniem postępowej funkcji katolicyzmu. Chodzi o kapłanów jednego rzymskiego Kościoła Powszechnego i obywateli jednej, polskiej Ojczyzny Ludowej, budującej socjalizm*".

Poza sprawami wewnętrznymi niezwykle istotne dla Opolszczyzny jest zagadnienie walki o Pokój. Pamięć okrucieństwa obozów koncentracyjnych, pamięć tych wszystkich, którzy zginęli w walce o wolność Opolszczyzny — kazała O. Stokowemu zająć mocne i zdecydowane stanowisko wobec problemu wojny.

„*Wojna to zło — to jest brutalne skłębienie się złych sił na świecie, które uniemożliwia normalny bieg życia ludzkiego i normalny rozwój pokojowego budowania cywilizacji i kultury Wojnę potępiamy my, chrześcijanie, wojnę potępiamy my, Polacy*".

Rezolucja powzięta przez działaczy katolickich jest niezbitym dowodem zrozumienia naczelnych zadań ogólnopaństwowych zarówno dotyczących jej wewnętrznej, jak i międzynarodowej polityki. Oto jej fragmenty.

„*Pragniemy wszechstronnego powiększania gospodarczego i kulturalnego dorobku ziemi opolskiej i całego kraju*".

„*Niewzruszonym fundamentem dalszego rozwoju pokojowego naszej Ojczyzny jest pogłębiająca się przyjaźń z bratnimi narodami umacniającymi pokojowe życie swoich krajów*".

„*Zespoleni we Froncie Narodowym ze spokojem i ufnością wkraczamy w nowe dziesięciolecie, które przez wzmożoną twórczą pracę każdego z nas będzie nowym ogniwem wielkości i chwały naszej Ojczyzny — Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej*"

**Redaguje Zespół.**
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 tel 8-60 11 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie Wklęsłodrukowe RSW Prasa W wa Marszałkowska 3/5
Zam. 402
B-6-130025

# U progu WIELKIEGO POSTU

mal. Paul Gauguin

*„CZYMŻE jest człowiek, że nań pamiętasz, albo syn człowieka, że go nawiedzasz? Uczyniłeś go tylko nieco mniejszym od aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go. Ustanowiłeś go nad dziełami rąk twoich i poddałeś wszystko pod nogi jego". (Ps. 8, 5—8)*

*Zachwyt Psalmisty oddającego hołd stworzeniu budzi w nas zawsze głębokie refleksje nad naturą człowieka, jego wielkością i godnością, nad jego celem i zadaniami w świecie.*

*„Bogami jesteście wszyscy i synami Najwyższego" — tę prawdę wysunąć trzeba na plan pierwszy w rozważaniach u progu Wielkiego Postu, by w pełni zrozumieć sens tego okresu liturgicznego, by poznać do głębi ekonomię Bożego zbawienia i historię wyniesienia człowieka w hierarchii stworzeń. Trzeba pojąć wielkość człowieka, by zrozumieć wielkopostne wezwanie Kościoła do modlitwy i pokuty i uświadomić sobie sens nakazów odrywających nas od tego, co utrudniać może widzenie człowieka w jego pełnych i właściwych wymiarach. Ale trzeba także pojąć sens tej najbardziej dramatycznej w historii walki Boga o człowieka dopełniającej się w dziele Krzyża, by w pełni uświadomić sobie cenę, jaka została dana za naszą godność i istotę jej wartości. — „Bóg tak umiłował świat, że syna swego jednorodzonego dał, aby każdy kto weń wierzy nie zginął, ale miał żywot wieczny".*

*W dziele Odkupienia dokonuje się pojednanie natury z łaską, człowieka z Bogiem. Ontologiczna przepaść dzieląca Stwórcę od stworzenia mogła być wypełniona tylko nieprzebranym miłosierdziem Boga podnoszącego stworzenie do uczestnictwa w swym dziele. Bóg stwarzając człowieka czynił go twórcą, owym „sapiens architekton" rozwijającym Boże plany. Gładząc grzechy w dziele odkupienia czynił jego działalność skuteczną nie tylko wobec ziemi, ale i nieba.*

*Wielkość człowieka polega na utrzymaniu związku w naszym życiu między dziełem Boga Stworzyciela i dziełem Boga Odkupiciela, między naturą a tym, co ją przekracza i dopełnia, między pracą i działaniem doczesnym a łaską. Tym, co przynosi zasługę w pełni w oczach Boga nie jest bowiem ani sama łaska, ani sama praca i dzieło, lecz jedność ich współdziałania.*

*Czas Wielkiego Postu jest okresem budowania zagubionej harmonii we wszystkich płaszczyznach życia ludzkiego. Całe życie Kościoła zostaje zorientowane na umacnianie bądź przywracanie jedności między Bogiem a człowiekiem — co stanowi o sensie naszego powołania — i jedności między człowiekiem a człowiekiem w aspekcie miłości Bożej, co określa istotę naszej zasługi wobec nieba.*

*Wielki Post staje się dla nas okresem wielkiego rachunku sumienia, przypomnieniem o wielkości i nędzy człowieka, częściowym rozliczeniem z włodarstwa, które przygotowuje nas do tej chwili, w której poniesiemy całkowitą odpowiedzialność wobec Boga za użycie władzy złożonej w naszych rękach.*

*Tę wielką i odpowiedzialną analizę trzeba dokonywać w atmosferze wewnętrznego skupienia i rozwagi. Okres przygotowania do Zmartwychwstania będzie więc także okresem postu i wstrzemięźliwości ducha, wyrzeczenia i umartwienia. Jesteśmy skłonni przenosić te objawy na samą istotę Wielkiego Postu. Dla wielu Wielki Post to czas, w którym nie wolno „urządzać hucznych zabaw" i spożywać w niektóre dni mięsa. To, co miało być środkiem ułatwiającym podjęcie wytężonej pracy myśli i woli staje się celem samo w sobie. Post i wstrzemięźliwość pojęte tak jak uczy nas Kościół mają nam umożliwić skierowanie myśli ku Bogu w modlitwie i ku bliźniemu w czynnym miłosierdziu i pracy dla jego dobra. „Który przez post ciała występki powściągasz, ducha podnosisz, cnotę dajesz..." (z prefacji Wielkopostnej).*

*Mamy przemyśleć nasz stosunek do Boga i nasz stosunek do świata w świetle prawdy o Odkupieniu. Mamy poddać refleksji całą naszą doktrynę, by wydobyć wszystkie płynące z niej konsekwencje, by te konsekwencje wcielić w życiu miłości skierowanej ku Bogu, bliźniemu i Świętemu Kościołowi prowadzącemu nas do zbawienia. Zgodność między naszym życiem a zasadami, jakie wyznajemy, nie może sprowadzać się tylko do subiektywnej czynności woli, do zapewnienia jedności między zasadami, które już znamy a płynącymi z nich konsekwencjami. Wymaga od nas ciągłego pogłębiania znajomości katolicyzmu, intelektualnego wżywania się w ducha jego uniwersalistycznych zasad, z których wynikają dla nas ciągle nowe konsekwencje, obejmujące wszystkie przejawy ciągle zmieniającego się życia i historii.*

*Władysław Seńko*

*JERZY KRZYSZTOŃ*

*rys. GABRIEL RECHOWICZ*

# DECYZJA

*„...Sed libera nos a malo. Amen".*

ZDECYDOWAŁ się wysiąść na rogatce. Autobus fuknął, mlasnął w błocie i pokolebał się żukowato, kręcąc upstrzonym w czerwone plamki odwłokiem. Wiatr gnał od pola, koziołkował nad nasypem szosy, aż księża sutanna wirowała w bajorkach — i jednym susem dopadał przydrożnych drzew. Noc. Nic — poza usypiającym miasteczkiem w oddali. Nic — poza chlupotem grubych butów i świstem drzew. Nic — poza łydkami, które drżą przemarzłe w autobusie. Przystanął i przez chwilę po furmańsku zabijał ramiona. Klapały o watowany kubrak. Ni stąd ni zowąd przeleciał mu przez pamięć werset chyba w seminarium zasłyszanej piosenki: *„Mihi est praepositum in taberna mori..."* Zapachniało dobrym winem. Ruszył przed siebie. Autobus był teraz jak omszała beczułka roniąca dwie purpurowe krople. Skandując słowa średniowiecznych bursów, żałował, że diabli go ponieśli na tę dzisiejszą wyprawę, że zerwał się skoro świt i niewyspany, z pustym żołądkiem, oddał nieopatrznie swe ciało na pastwę rozklekotanego pudła z napisem: NN — Warszawa. Gdyby mu w powrotnej drodze tak potwornie nogi nie przemarzły, dojechałby w samo serce Świebącina, ot, tam, gdzie właśnie zatrzymały się dwa czerwone światełka u mrocznej wieży kościoła. Chłopak, który go skusił na to bezeceństwo, miał oczy cherubina, takąż buźkę — pucołowatą, tylko mówiąc pluł jak niecherubin. Że, księże dziekanie, ważna sprawa, ksiądz rozumie, doniosły zjazd, psze księdza dziekana. Wobec odrodzenia faszyzmu na Zachodzie, wobec całej kampanii rewizjonistycznej, ksiądz dziekan doskonale, prawda?... No, nie tak bardzo doskonale. Ale prawda, że nie cierpi Niemców, nie cierpi ich jako narodu, którego jedyna rola w historii sprowadzała się do tego, aby nieustannie przypominać zbłąkanej ludzkości o grzechu pierworodnym. Ksiądz dziekan wie, granica na Odrze i Nysie..., psze księdza dziekana. Tak, tak, byleby tylko ta granica przebiegała jak najdalej od Warszawy... od Świebącina. Bo ostatecznie tu nie o to chodzi, że dyrektor seminarium — siwy, zakaprawiony staruszek — nie przez tawernę, ale przez komin wyleciał z Oświęcimia, ba, nawet nie o to, że brat, Panie świeć nad jego duszą, zostawił płuca na robotach. Tylko — no cóż, tego mu się nie powie — tylko o to, żeby tryskający śliną cherubinek nie podzielił nigdy ich losu. Psze księdza dziekana?... Przyjadę, przyjadę. Pewnie, że lepiej było nie jechać. Zwłaszcza jeśli na człowieka spadnie drzemka podczas któregoś z referatów, a zaburaczony konfrater kuksnie go w bok. Cóż, referaty — jak mówił świątły kanonik z N. — bywają nudne, ale sprawa, sprawa jest ważna!

Bluznął prawą nogą w kałużę, lewa mu się podwinęła — i postękiwał przez chwilę oparty na łokciu, z dłonią utaplaną w błocku. Fularowa chustka wchłonęła wszystko, co się dało. Z myślą o Stefanowej rzucił ją w rów. Sprawa! Ważna sprawa! A czy tu, w Świebącinie — nie było ważnych spraw? Ej ty, cherubinku! A sześć tysięcy dusz na cztery ręce i trzy konfesjonały i dwa ołtarze — bo nawa boczna nie odbudowana — to nieważna sprawa? Pomoc Państwa, psze księdza dziekana... Tak, pomoc Państwa, otóż to! Tylko, że pomoc Państwa sięga nad Odrę i Nysę, ale jakoś przelatuje nad Świebącinem. W Świebącinie nawet koguty o niej nie piały. A w Świebącinie, ot ten mały domek, widzisz cherubinku? Ot ten właśnie domeczek — to jest szkoła. Zauważ sobie — szkoła. Teraz tam ciemno, bo noc. W dzień też ciemno, bo okienka niemal zapadły się w ziemię. Święta prawda, cherubinku. I teraz tam dach przecieka, bo odwilż. W lecie też przecieka, bo dziurawy. Nie wierzysz? Sprawdź księgi metrykalne; Józef, organista, ci pokaże... A co? Jest sześć tysięcy czy nie? Ano widzisz — jest. Ani jednej duszy mniej, ani jednej więcej. Tak, tak, mój cherubinku.

Splunął nagle, przystanął i przetarł oczy. Spośród rozwichrzonych drzew wyrosła ciemniejsza od nocy i trwalsza od nocy wieża kościoła. *...et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris...* I nagle zrobiło mu się żal, tego Świębącina w zagubieniu; tego księżyny, który stał teraz przed kościołem i siorbał nosem. I żal — wszystkich Niemców, jacy tylko chodzili po świecie, czy jako indywidua, czy jako naród. I żal — cherubinka, że strzykał śliną... niepotrzebnie. Otrzepał rękaw z zaschłego błota. Uniósł sutannę i z bliską myślą o Stefanowej ruszył bezwzględnie do drzwi plebanii.

Był głodny. Na zjeździe nic nie jadł, jako że od kilku lat cierpiał na żołądek. Nic go też tak nie wyprowadzało z równowagi, jak zimne zakąski i ów codzienny — dziś go Bogu dzięki ominął — dyskurs między organistą a wikarym. Złośliwiec - wikary zaczynał: „Taki obiad, to dar Boży, nieprawdaż, panie Józefie?" Prostaczek - organista w niewinności swej odpowiadał: „No cóż, księże dobrodzieju, dzwoneczko śledzika, nóżki w galaretce, delicje, z chrzanem, sztuczka mięska na zimno, barszczyk czerwony, kartofelki piiiuuurreee — to „piure" sfruwało z ust organisty głosem fletni niebiańskich — kotlecik schabowy z jajeczkiem pod dwie kropelki śliwowiczki... Jak na dar Boży, księże dobrodzieju..." Wikary, złośliwiec, był zachwycony i chyba w ogóle nie spowiadał się z tego, że nadużywa zaufania maluczkich. On sam jednak z poszanowania dla prostaczków nie prowokował nigdy organisty do rozmów gastronomicznych.

Gdy stał zmrużywszy oczy przed ostrym światłem, pomacał go po twarzy lepki zapach placków kartoflanych.

— Wszelkiduchpanabogachwali!!

Nie znosił oleju. A ona zawsze, gdy tylko wyjechał na dłużej, smażyła placki kartoflane.

— I ja też chwalę — odparł.

Zbliżyła się ostrożnie, by dotknąć i sprawdzić palcami autentyczność dziekańskiej sutanny. Po fakcie, zawołała w stronę kuchni, wieszcząc dobrą nowinę:

— Jezusie Nazareński, ksiądz dziekan.., w r ó c i ł!

W kuchni jakaś szklanka stuknęła o podłogę. Słychać było, jak spodek turla się i podzwania na blasze pod paleniskiem. Gospodyni zamarła w napięciu. Minął ją bezceremonialnie i rozbierał się przystanąwszy u wieszaka w przedpokoju.

— A myśmy się tak bały, że ksiądz dziekan nie... — przełknęła ślinę. — Pomogę...

— Dziękuję, Stefanowo. Nie jestem taki znowu stary. Proszę lepiej zamknąć drzwi.

Oczywiście, trzasnęła drzwiami. Oczywiście, nie należało jej mówić per... Stefanowo. A należało pozwolić ściągnąć sobie palto i kubrak z ramion. Oczywiście...

— Może by ksiądz tak zdjął te buciska i wyżął sutannę, co? Cały h o l dzisiaj wysprzątałam.

To ta, co upuściła szklankę, nauczyła ją mówić: h a l l. Aptekarzowa. Dziś, o piątej odprowadzały go obie do autobusu, aż wikary chichotał skryty za firanką (organista, na szczęście, spał). Aptekarzowa — tuż przed odjazdem — zerwała mu nitkę zwisającą z nadstrzępionego rękawa. Widział, jak ta relikwia ginie w jej pokaźnym biuście. Moja pani, nie wróci... Od nich?... Już, już chciał odpowiedzieć: ten przedpokój należy do mnie, czyszczę buty tylko przed wejściem do kościoła. Ale uprzedzając zgięte plecy gospodyni pochylił się nad kamaszami i z wyraźnym trudem ściągnął je z nóg. Stał przez chwilę bezradnie, w skarpetkach. A potem windując przez głowę oślizłą sutannę, po omacku dał nurka w bambosze.

Stefanowa przerzuciła zapaćkane okrycie przez ramię i stała mierząc je wzrokiem synogarlicy spoglądającej na padalca.

— Weźmie ksiądz aspirynę, mleko z miodem i do łóżka — orzekła stanowczo, wchodząc do kuchni.

Przemykał się na palcach ku schodom wiodącym na pięterko. Z kuchni doleciał go dramatyczny szept aptekarzowej: „A nie mówiłam Stefanowej, takiego świętego człowieka to nawet o n i nie ruszą..." Schody, jak zwykle, zatrzeszczały, Gospodyni, jak zwykle, zjawiła się na sygnał.

Niemalże zamlenił się we własną sutannę pod okiem synogarlicy.

— A może, ksiądz dziekan, pozwoli kawy z kożuszkiem?

— Nnnie — odparł. — Nnnie, wolę... — chciał powiedzieć: „placki kartoflane", ale wybąkał tylko: — wolę... mleko z miodem.

Na piętnastym schodku poczuł, że z jego sercem naprawdę nie jest tak wesoło. Zasapany przystanął u drzwi swego pokoju na pięterku. Zza dębowego drzewa dochodził z n a j o m y głos. I znów — gdy przytrzymywał ręką rozochocone serce — złapał go żal, żal, że nigdy nie uwolni się od natrętów. Cofając się, poznał, że to spiker z Wolnej Europy. Nacisnął klamkę.

Organista rozwalony w fotelu mrugnął okiem.

— No i jak tam, księże dobrodzieju?

W odpowiedzi sapnął tylko zapadając w trzcinowe krzesełko.

— Cały krzyk o granicę na Odrze i Nysie jest zwykłą komunistyczną prowokacją. Nawet k s i ę ż y wciąga się do tej s z o p k i... — Tu spiker zachichotał, żeby mniej subtelni słuchacze zauważyli dowcip.

Organista kiwał głową. Śpi czy się schlał? Ksiądz machnął ręką. Organista błyskawicznie skręcił na jazz. W pokoju powiało autentycznym pseudofolklorem.

— Taki głos to dar Boży — zaznaczył sentencjonalnie. — I co tam było, księże dobrodzieju?

Patrząc w twarz organisty, twarz spasionego cherubińska, ksiądz dziekan ze Świebącina palnął:

— Szyneczka, delicje, z salcesonem, baleronik, w potrawce cielęcinka, co? i śledzik? korniszonki, i nóżki w galaretce, pulardka?... i schab???... pod dwie kropelki ...polędwiczki... Won!

Organista powoli wycofywał się w stronę drzwi. Ostatnich słów chyba już nie słyszał, bo pędem zbiegał po schodach.

*Jerzy Krzysztoń*

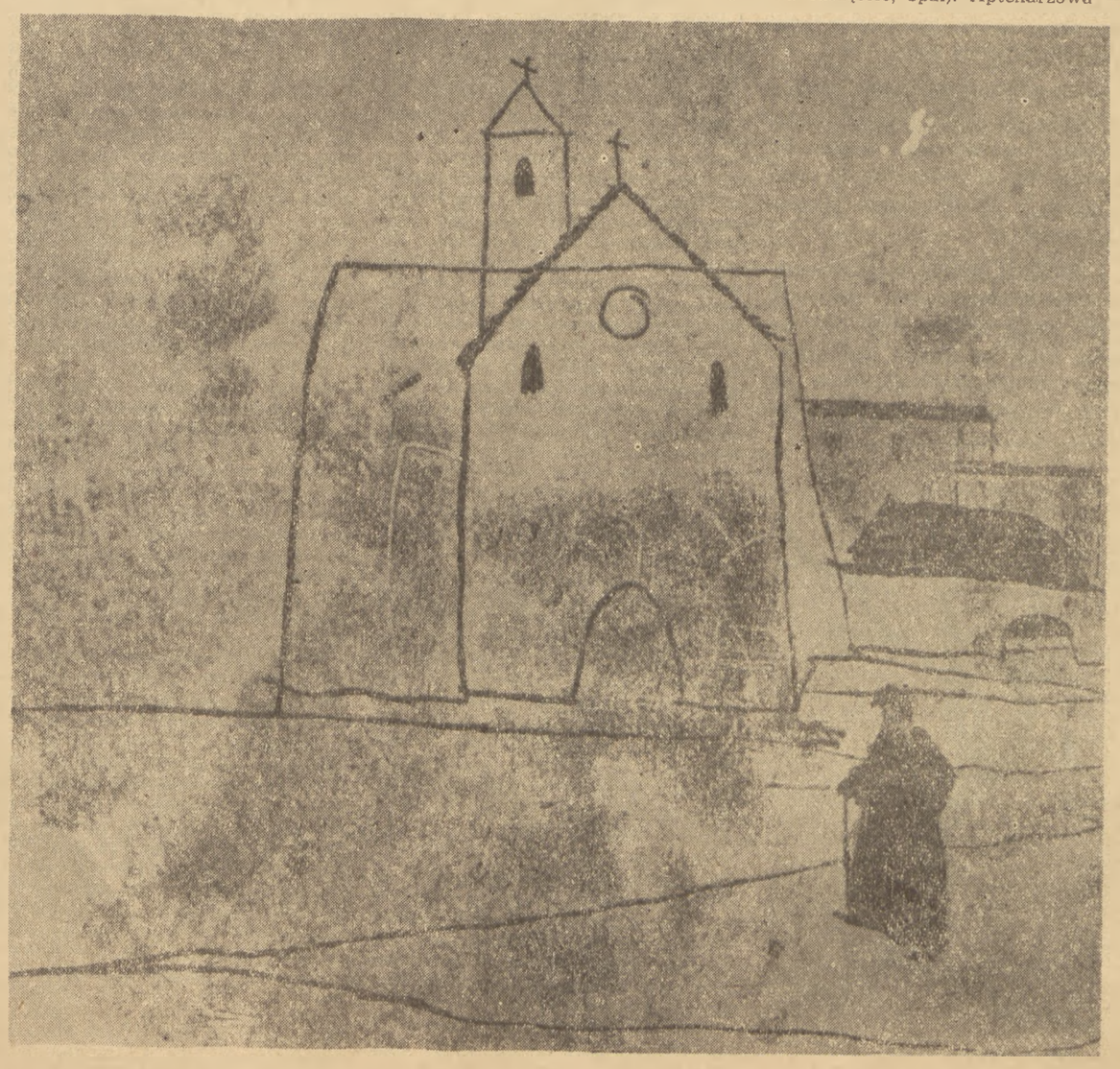

# BAŚNI ZIMOWE

ZDZISŁAW ŁĄCZKOWSKI

*Jesteśmy jak zbłąkany wiersz poematu, który czuje, iż rymuje się do innego wiersza, i że znaleźć go musi, by dojść do swego spełnienia.*

*Rabindranath Tagore*

## Kalina

*OBOK zapomnianej kapliczki, gdzie nową wiatr dmie w suche sosny jak w rogi jeleni i łamie z trzaskiem zjeżone osty, przy zagubionej w ogromnej tęsknocie za ludzką stopą polnej ścieżce, gdzie tylko czasem puhacz zniedołężniały obwieszcza godziny nocy — rośnie kalina, smagła i zuchwała, przyśpiewem swoich liści niszcząc całe pokolenia leśne. Podczas długich wieczorów jesieni upija się w rosie czarnej od deszczów, oddaje swoje korale krzewom polnym, a potem w obłąkaniu biegnie do najbliższego strumienia. Liście usiłują wydobyć jakiś dźwięk, lecz nawet szeptu... Raniąc gałęzie o kamienie, zatacza koła, jakieś niezrozumiałe znaki kreśli daremnie na piasku. Szuka swych kwiatów .*

*— Co za straszydło! — śmieją się leszcze płynące rzeką na srebrnych tratwach paproci. Podbiega do strumienia i zatapia tratwy.*

*O świcie podpala krzewy swą barwą i odbiera korale jarzębinom rosnącym w pobliskim borze. Jest zmęczona i pragnie śpiewu. Przyfruwa do niej wtedy słowik, który lubi zapach białej kory, siada na najbardziej wiotkiej gałązce i nuci piosenki cierpkie jak smak jej owocu, całując purpurowe loki kaliny.*

*Jest to jedyne ciepło, jakiego kalina zaznaje, a z którego pogardliwie szydzi. Znienawidziła więc słowika i podstępnie uwięziła go we wnętrzu swojego butwiejącego pnia.*

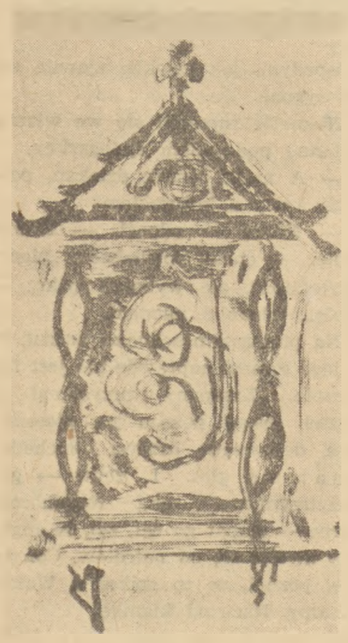

*Po tygodniu uwiędła ekstaza jej zieleni. Opadły korale i uschły gałęzie. Nawet trawa rosnąca wokół spopielała. Kiedy wreszcie chciała uwolnić słowika — już nie żył.*

*

*Grudniowej nocy stróż wiejski widział, jak błąkała się po wiosce pokryta lodem drzewina kaliny. Lękliwie zaglądała do okien drżąc z zimna. A kiedy przyszła nad rzekę, całowała błękitne liście chłodu. Potem zaczepiła o koło młyńskie dwie pokaleczone gałązki i wisząc tak nad przepaścią — zapłakała.*

## Ślepiec

*LUBIŁEM w parku szeroką aleję kwitnących akacji, gdzie wśród puszystej doliny mgławic, myśli miały kształt rozśpiewanych aerolitów. Chodziłem wieczorem w ciche uliczki, na których blado jarzyły się jaszczurki purpurowe od całodziennej spiekoty i wybiegały mi na spotkanie nietoperze o skrzydłach ceglastych. Zawsze siadałem koło kamiennego pomnika, dziwiąc się topornej fantazji rzeźbiarza. Któregoś wieczoru spostrzegłem, że na cokole zamiast giganta stoi ślepiec i gra na skrzypcach o strunach błyszczących jak rosa.*

*— Długo tu stoisz? — spytałem.*

*— Już od roku i nie mogę z siebie wydobyć pieśni.*

*Wszedłem na cokół, objąłem ramionami ślepca i tak zastygliśmy w bolesnym geście. Śnieg pokrył nas grubą warstwą i dawno już zatarł ślady naszych stóp. Staliśmy milczący i dumni, że gardzimy cierpieniem.*

*Pewnego ranka poczułem silny ból. To sęp, który przyleciał tutaj, aby przezimować, wydziobał mi oczy i oddał je ślepcowi.*

*Przyszła wiosna. Przeczułem zieleń i słońce. Skrzypka już nie było. Zakochał się tej nocy w dziewczynie, która zrywając kwiaty dotknęła jego dłoni kamiennej ciepłym policzkiem.*

*Zostawił mi tylko skrzypce.*

*Dzieci grające koło pomnika w palanta krzyczą: brzydal!*

*Wiosną przychodzą do mnie myszy polne, które lubią się bawić połamanym smyczkiem, udając, że to kłos zboża. I tylko czasem wrony zapłaczą nad człowiekiem, który z nadmiaru dumy i pogardy stał się posągiem.*

## Ropucha

*JESZCZE tylko tych kilka dni jesieni, a potem drzewa znowu rozpuszczą barwę liści i pokryją pąki szronem. Lecz nim zniedołężnieje zieleń wokół mojego domu, ujrzę jeszcze raz na chwilę w mym czarnym kielichu okwieconą gałązkę czeremchy, a łza będzie przejrzysta jak szept płatków narcyza i zimna jak stalaktyt. Zamknę się wśród ścian własnych spojrzeń i ogłoszę światu swoją samotność. A czas, który leniwie i gorzko odmierzy przestrzeń między mną a ludźmi, zakuje mnie w ropuchę rudą z białym krzyżykiem na pyszczku.*

*I będę chodziła wśród ludzi i antycznych uliczek wielkiego miasta, żebrząc miłości. Lecz nikt nie ulituje się nade mną i nikt nie domyśli się, że jestem człowiekiem. Nocą popłynę śniczką nad rzekę, gdyż lubię się wsłuchiwać w zamrożony szum wody. Aż kiedyś schwytają mnie chłopcy, bawiący się w żołnierzy, uwiążą na sznurku i każą skakać w takt bębna. Może wtedy uda mi się zbiec, a może ktoś z ludzi uśmiechnie się do mnie.*

*Lecz najprawdopodobniej zostanę wrzucona do beczki pełnej smoły, a rozbawiona dziatwa rozkaże mi śpiewać hymny pochwalne na cześć pajacyka z różnobarwnych gałganków babci.*

*I przyjdzie jeszcze jedna wiosna, a wtedy poczuję na swym grzbiecie ciepły dotyk dłoni i nigdy już nie ujrzę nocy, bo kielich mój będzie pełny białych płatków i stanę się znowu człowiekiem, niosącym w dłoniach ciężar ziemi.*

*rys. Bohdan Śleskin*

# NAD KSIĘGĄ

ZYGMUNT LICHNIAK

I

INSTYTUT Wydawniczy „PAX" w końcu ubiegłego roku zdobył się na obszerny almanach poetycki. *) Zamierzenie edytorskie — z grubsza wyjaśnione w przedmowie — było bardzo proste: dać przegląd sił poetyckich tych twórców, którzy określają się lub których się określa jako twórców współczesnej poezji katolickiej. Almanach chciał ukazać ich możliwości, przekrój poprzez narastające — często bardzo jeszcze świeże — warstwy dojrzewania poetyckiego. Chciał być panoramą różnorakich — choć zasadniczo jedną tylko inspiracją światopoglądową określonych — postaw. Chciał wreszcie dać — niejako „z lotu ptaka" poczyniony — ogląd tego, co się dzieje wewnątrz poezji katolickiej, jak się rozwija — czy też zamiera — jej życie, jakimi drogami i do jakich dąży celów. Zamierzenie to równie ambitne, jak i niebezpieczne.

Niebezpieczne, bo z góry skazywało almanach „Paxu" na — bardziej niż w jakiejkolwiek innej antologii — widoczną różnopoziomowość utworów, różnokierunkowość ich intencji ideowych, i — powiedzmy szczerze — na pewien mętlik tytułów, nazwisk, wrażeń.

Niebezpieczeństwo potęgował omnibusowy charakter tomu i przez to, że skoro omnibus, więc znaleźć się w nim powinno miejsce dla wszystkich, którzy mogą się wykazać jakimś biletem poetyckim. Tymczasem w almanachu są i pasażerowie na gapę, i pasażerowie na kredyt, a nie zabrano w pośpiechu pasażerów z mocnymi abonamentami. Z mankamentów tych należy zdać sobie sprawę i obarczyć nimi wydawców, a wśród nich i niżej podpisanego. Ale nie znaczy to wcale, że ambitne zadanie almanachu, wspomniane uprzednio, zostało zaprzepaszczone. Bynajmniej. Mimo wszystko almanach realizuje cel, który go powołał do życia. Almanach — nawet przy tych przeoczeniach, które są przykre, i nawet przy tych niedostatkach, które nie wynikły z postawy wydawców, lecz raczej z przyczyn od nich niezależnych — ukazuje ogólny obraz tego zjawiska literackiego, które w opinii społecznej zarysowuje się jako zjawisko młodej poezji katolickiej w Polsce Ludowej. I stworzenie takiego obrazu, które było zamierzeniem wydawnictwa, jest obiektywną tego wydawnictwa zasługą.

Naturalnie, stworzenie takiego obrazu nie było celem samym w sobie. Służyło — przynajmniej w zamierzeniach wydawców — jako cel pośredni wyższemu celowi nadrzędnemu. Mianowicie: ukazując w almanachowym skrócie aktualny stan młodej poezji katolickiej w dziesiątym roku istnienia Polski Ludowej, wydawcy pragnęli zmobilizować wewnętrznie procesy dojrzewania tej poezji, zaktywizować procesy jej krystalizacji ideowo-artystycznej, poddać ją próbie społecznego odbioru, sprawdzić jej społeczną „nośność", artystyczną atrakcyjność, światopoglądową wyrazistość, polityczną słuszność, czyli — mówiąc najogólniej — wydawcy pragnęli poprzez ten streszczeniowy almanach postawić na nowo w polskim życiu literackim problem młodej poezji katolickiej, domagający się wielu ogólnych i wielu szczegółowych rozwiązań.

W konkretnych przewidywaniach rozmieniało się to na wiele niebłahych spraw.

Zburzyć atmosferę zaścianka, przełamać zasadę getta katolickiego, dać prądom i osiągnięciom młodej poezji katolickiej szansę przełamania się w zwierciadle różnorakich ocen, zaaklimatyzować ją w aurze twórczej dyskusji, wyleczyć jednych z inercyjnej spiączki samozadowolenia i pychy światopoglądowej, wyzwolić innych z drżączki zalęknienia, kompleksu światopoglądowej wstydliwości, zarazić wszystkich większą odpowiedzialnością za swój udział w naszym życiu i naszych wzruszeniach, skonfrontować to, co jest, z tradycjami, z tym, co było, co nadawało godność katolickiej poezji, uwyraźnić obiektywną skalę niedociągnięć i osiągnięć, poszerzyć skalę działania — oto niekompletny jeszcze, ale w zasadniczych konturach uchwytny wymiar nadziei, które towarzyszyły narodzinom projektu i realizacji wydawnictwa almanachowego „Paxu". Stąd rażąca niektórych powaga ponoć zbyt patetycznego tytułu, stąd dość duże — niesłusznie niektórych rażące — słowa przedmowy. Wydawnictwo potraktowało almanach bardzo serio. I tak — jeśli już nie z racji wszystkich zawartych w nim utworów, to na pewno z racji ich obiektywnej w tym zestawie wymowy — traktować almanach należy.

Jest to książka-egzamin społeczny, książka-monit i książka-wezwanie, dokument i pytajnik, świadectwo dojrzewania i zahamowań, na dobrą sprawę jest to — prawda, że fragmentaryczna, prawda, że i zająkliwa, i może nie zawsze dogłębnie przemyślana czy przeżyta, ale na pewno w zasadniczych swych nurtach wyrażająca wewnętrzną prawdę — poetycka spowiedź młodego pokolenia. Należy jej się nasze głębsze zainteresowanie.

II

NIESTETY, zainteresowanie to — przynajmniej w dającym się do tej pory zaobserwować przebiegu reakcji krytyki literackiej — jest bardzo ubogie zarówno w swoim wymiarze ilościowym, jak też i ciężarze jakościowym.

Krytyka naszych braci marksistów milczy. Oczywiście, jest to w jakimś stopniu przejawem jej — i nie tylko jej, bo wszelkiej krytyki poetyckiej — kryzysu. O kryzysie tym mówi się ostatnio i dużo, i głośno, ale poza diagnozy i wezwania do poszukiwania środków zaradczych jakoś wyjść nikt do tej pory nie potrafił. Czyżby więc choroba nieuleczalna? Chyba nie. Raczej praca medyków zbyt opieszała...

Oczywiście, to, że almanach pozostał do tej pory niezauważony ani przez „Nową Kulturę", ani przez „Życie Literackie", ani przez „Przegląd Kulturalny" czy „Twórczość" może być też w jakimś stopniu wynikiem zwolnionych trybów prac redakcyjnych w tym zakresie. Za dowód szybkości w publikowaniu omówień ciągle jeszcze uważa się nawet okres półroczny od poczęcia życia książki wśród czytelników.

Gorzkie doświadczenie uczy jednak, że oprócz wymienionych wyżej ewentualności fakt milczenia krytyki naszych braci marksistów uwarunkowany jest bardziej istotnymi przyczynami. Mam prawo mówić o tym głośno i po prostu, bo mówiłem o tym na VI Zjeździe Związku Literatów Polskich. Przyznawano mi rację. Zapowiadano — nie mnie, bo to nieistotne, ale sobie, ale naszemu ogólnonarodowemu życiu kulturalnemu — zmianę stanowisk. I... nic się nie zmieniło. Stare, fałszywe tradycje są ciągle obowiązującą normą postępowania. Więc powtarzam bez obsłonek: błąd milczenia marksistowskiej krytyki literackiej na temat katolickich zjawisk literackich jest błędem wąskiego, jednostronnego widzenia problematyki kulturalnego życia narodowego, jest błędem maskowania wielu istotnych problemów, błędem przeoczania wieloświatopoglądowego charakteru procesów kulturotwórczych, błędem tych, którzy piętnując getto, sekciarstwo, zaściankowość — spychają innych do getta, podlegają sami schorzeniom sekciarstwa, prowokują — *nolens volens* — niebezpieczeństwo zaściankowości. To oskarżenie nie jest gołosłowne. Stoi za nim prawda dziesięciu lat, stoi za nim także prawda ostatniego okresu, jaki już nas dzieli od VI zjazdu pisarzy polskich. Czas więc chyba najwyższy na rewizję tego fałszywego stanowiska. Rewizję i naprawę faktyczną, a nie tylko deklaratywną. Bo w przeciwnym wypadku przyjąć by należało smutny wniosek, że milczenie marksistowskiej krytyki literackiej na temat katolickiej twórczości literackiej jest metodą dyskusji z tą twórczością. Czyli że za najsłuszniejsze uznano to, co napiętnowane zostało jako najniesłuszniejsze: mechaniczne, administracyjne metody rozwiązywania zagadnienia wieloświatopoglądowości obozu socjalizmu. Nikt chyba pod takim stwierdzeniem się nie podpisze. Każdy więc musi wysnuć z tego praktyczne konsekwencje.

Tylko w twórczym współdziałaniu w twórczej dyskusji dzieje się prawda socjalizmu, prawda kultury socjalistycznej, prawda socjalistycznej literatury. O tym marksistowska krytyka literacka nie pamięta. I to warto jej choćby z okazji paxowskiego almanachu (a okazji takich było już wiele) przypomnieć.

Co innego przy tej samej okazji (tak jak przy wielu innych okazjach) przypomnieć warto krytyce poetyckiej uprawianej na łamach naszych pism katolickich.

Zareagowały one na almanach „...każdej chwili wybierać muszę" dosyć żywo. W samym „Tygodniku Powszechnym", cierpiącym od dawna na niedowład publicystyki literackiej, ukazało się do tej pory aż sześć dyskusyjnych enuncjacji. Tygodnik „Dziś i Jutro" wystąpił z anonsowym artykułem wstępnym. Nawet poświęcony przede wszystkim zagadnieniom religijnym i sprawom swego regionu „Wrocławski Tygodnik Katolicki" zdobył się na recenzję obszernego tomu poetyckiego. Co prawda nie dostrzegło jeszcze tego tomu trochę nieuważne w tym zakresie „Słowo Powszechne", nie odezwał się jeszcze „Katolik" z Opola, ale w sumie ilościowo reakcja krytyki poetyckiej w pismach katolickich jest raczej żywa. Gdyby ilość bezpośrednio mogła świadczyć o jakości, byłaby to reakcja twórcza, zbogacająca nasze rozumienie poezji i ocenę jej aktualnego stanu.

Właśnie: gdyby....

Jednak mimo dosyć dużej liczebności wypowiedzi naszych krytyków i krytyków *in spe*, jak też krytyków *iure caduco* — sprawę almanachu rozmieniono na drobne, nie wykorzystano jej — przynajmniej dotychczas — jako konkretnej okazji, jako prowokującego punktu wyjścia ku głębszym, bardziej zasadniczym rozważaniom. A na tym przede wszystkim polegać miał ogólny sens wydanego przez „Pax" zbioru poetyckiego.

Omówienia poświęcone temu zbiorowi zdradzają tendencję wybierania przez krytyków poezji — co jest symptomem ogólniejszego kryzysu — drogi jak najmniejszego oporu. Niektórzy po prostu zajęli się metrykami współautorów almanachu ganiąc ich za młodość, odmawiając świadectwa dojrzałości, czyniąc „dorosłe" grymasy nad wypracowaniami „niedorosłych" seminarzystów, co w sumie nadało ich omówieniom właśnie charakter seminaryjnych wypracowań. Inni wyodrębnili sobie ze zbioru postaci ich interesujące, rozpatrując twórczość swoich „wybranych" jako zjawiska „same w sobie". Jeszcze inni spróbowali „o wszystkich po trochu", tak aby omówienie mogło być podręcznym przewodnikiem po splątanych ścieżkach almanachu. A jeszcze inni podejmowali polemikę z tym, co powiedzieli inni.

W efekcie powstała sytuacja jak w balladzie „Powrót taty": „ten sobie mówi, a ten sobie mówi, pełno radości i krzyku..." Ustalono rozmaite między „almanachowcami" podziały, wyodrębniono niemal pierwszą, drugą i trzecią klasę pasażerów almanachowego omnibusu, wypisano sporo bezprawnych cenzurek, wypitraszono przy okazji kilka recept na poezję dobrą, mniej dobrą i złą, zrobiono na ciasnym podwórku mały huczek i zaproponowano sobie odłożyć sprawę *ad acta*. Łapu capu — i po wszystkim. Odfajkowane.

Jeden stąd — ujawniony wyraziście reakcjami na paxowski almanach — wniosek: krytyka poetycka pism katolickich znajduje się również w okresie ostrego kryzysu.

III

ZASADNICZĄ słabość naszej krytyki poetyckiej upatruję — oczywiście, poza stwierdzeniem powszechnej słabości narzędzi poznawczych stosowanych przy analizie wartości estetycznych — w zwężeniu pola widzenia, w niedocenianiu zasady wszechzależności zjawisk, wreszcie w skłonności ku nadawaniu sądom subiektywnym rangi zdań obiektywnie sprawdzalnych.

Mówiąc po prostu: nasza krytyka poetycka ma na oczach klapki dorożkarskiego konia, które mają ją uchronić — i chronią, oj, bardzo chronią — przed rozpatrywaniem spraw tego czy innego poety, tego czy innego wiersza, spraw młodej poezji w otoczce zjawisk warunkujących, w powiązaniu z ogólnym stanem i zadaniami twórczości literackiej, wreszcie z tradycjami, które domagają się od współczesności porównawczych zestawów konfrontacyjnych, no i z perspektywami rozwojowymi, które także określają w jakiejś mierze obiektywne proporcje zjawiska literackiego.

Z takimi klapkami przy oczach spojrzano również na almanach paxowski. Zobaczono grubą książkę, w książce nazwiska dwudziestu jeden poetów, przy nazwiskach poetów dwieście sześćdziesiąt trzy wiersze. Nie zauważono problemu młodej poezji katolickiej.

Wydawnictwu, które — jak każde ambitne wydawnictwo — czuje się nie tylko przedsiębiorstwem handlowym, lecz przede wszystkim jednym z ośrodków życia i inspiracji ideowo-kulturalnej, nie mogła wystarczyć tak obiektywizująca się funkcja almanachu. Podjęto trud zorganizowania dyskusji na ten temat. Zaproszeni przez wydawnictwo zjechali się na dwudniową rozmowę i almanachowcy, i ich krytycy, aby w atmosferze bezwzględnej szczerości i żywej troski o sprawy, którym chciał służyć almanach, dokonać oceny sytuacji, rewizji poglądów, konfrontacji postaw. Nie jest moim zamiarem składać tu sprawozdanie z tych dwudniowych obrad. Ale na marginesie tych obrad jedną należy sformułować uwagę, która narzuca się siłą bolesnego wniosku. Chociaż padały chwilami wypowiedzi ciekawe, fragmentarycznie cenne, chociaż niektórzy poeci — zwłaszcza obecni w almanachu, lecz nieobecni w ruchu społecznie postępowych katolików polskich — podejmowali momentami interesujące próby sformułowania i obrony swoich postaw ideowo-artystycznych, chociaż innym — zwłaszcza młodszym w swoim dorobku poetyckim autorom — udało się sformułować kilka istotnych spostrzeżeń na temat koniecznych i oczywistych związków sztuki z polityką, chociaż — jednym słowem — nie zabrakło w obradach elementów twórczych rozważań, zasadniczo dominującą cechą spotkania była ujawniająca się w jego przebiegu niezdolność syntetycznego widzenia i rozumienia sprawy przy ogromnej skłonności ku chaotycznej, oderwanej od określonego ideowo zaplecza analizie zjawisk szczegółowych, co znajdowało swój wyraz ostateczny w żenujących nieraz sporach przyczynkarskich i personalnych.

Na próby podniesienia roztrząsań szczegółowych ku uogólnieniom bardziej merytorycznym, na próby przemienienia dezintegracyjnych uwag w całościowe widzenie problemu patrzono raczej koso, nieufnie, próbując dowcipkami dyskredytować „ponury pryncypializm". Była to jeszcze jedna ucieczka przed trudnościami problematyki, jeszcze jeden unik, nawykowy, tradycyjny skręt na drogę minimalnego oporu.

A jest chyba rzeczą dla wszystkich oczywistą, że to, czego zabrakło omówieniom almanachu, to, czego zabrakło obradom, to, co zwęziło, zubożyło i spłyciło wszelkie enuncjacje krytyki, to właśnie owe klapki konia dorożkarskiego przy oczach. To właśnie dezintegracja, jednostronność rozważań, to właśnie zawieszenie wszystkiego w próżni, brak zaplecza, brak szerszego histo-

*) „...każdej chwili wybierać muszę" Almanach poetycki, Wydawnictwo „Pax". Warszawa 1954.

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

# PRELUDIA

Wandzie Pieńkowskiej

## I Góry

*Wyższe niż cisza, kiedy się wzbija*
*Śniegiem gołębic*
*A moja radość — gałąź niczyja*
*U mglistych głębi.*

*O, zachwycone lotem przestrzeni*
*Odartej z granic —*
*Ja po kamieniach cieknę strumieniem*

*Wezbranym łzami.*
*Wasz los wysoki — niebieskie cienie*
*Rzucać na czoła —*
*Strugą cierpienia z ziemi i w ziemię*
*Płynę i wołam.*

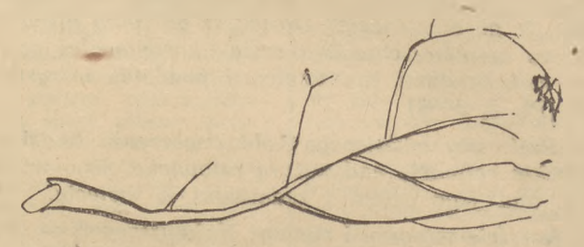

## II Łąka

*Łąko ukośna — łąko skrzydlata*
*Zjeżona cierniem — cierpieniem świerszczy*
*Jak dzień ostatni i jak dzień pierwszy*
*Rwiesz się ku niebu granicą świata.*

*Po ziemi błądząc gdzie kruche iły*
*Zraniona świtem — zapadasz w pamięć*
*Znowu Cię ze mnie wydźwignie siła*
*Nagłej miłości, gdy sypnie zamieć.*

*Łąko skrzydlata — łąko urwista.*

## III Dom

*Ściany domu pachną cynamonem*
*W kominie mieszka wiatr*
*Noc jak sowa bije o ściany*
*Skrzydłami czarnych Tatr.*

*Tutaj prosta dobroć kobieca*
*Kołysze do snu dzień —*
*Sowie oczy złotą muzykę*
*Przez wonną wiodą sień.*

*Dom uniosę w czas który mija*
*W obu stulonych rękach*
*Długo jeszcze będzie mi sprzyjać*
*Stara irlandzka piosenka.*

## IV Kamienie

*Ani grad, ani mgła — kamienie*
*Opadają i dudnią po nocy.*
*Zimny świt, wiatr nizinny zapomnieniem*
*Niech nadciągnie, niech mi przyjdzie ku pomocy.*

*Z niskich gwiazd złotą krwią ścieka sierpień —*
*I na zawsze już na zawsze kamienieją*
*Krótkie dni, górski czas i krzew cierni*
*Drobną kwitnący nadzieją.*

# NIEDOKONANEGO WYBORU

rycznego i społecznego widzenia i rozumienia rozwałkowywanej seminaryjnej sprawy. I o tym trzeba mówić głośno, wyraźnie, bez owijania prawdy w bawełnę.

Nie mam zamiaru umniejszać znaczenia rozważań analitycznych w zakresie krytyki poetyckiej. Bynajmniej. Uważam je za niesłychanie cenne, konieczne, bardzo pomocne w kształtowaniu osądu i gustu poetyckiego. Nie ma nic gorszego, niż szarżowanie ogólnikami pozbawionymi jakiejkolwiek siły argumentów. Im głębiej się pochylimy nad utworem, im wnikliwiej zbadamy jego tkankę ideowo-artystyczną, im precyzyjniej, niemal im czulej określimy każdy nawet najdrobniejszy składnik całości — tym lepiej spełnimy rolę miłośników poezji, którzy chcą uczyć rozumienia lub nawet kochania poezji. To bezsporne. Ale równie bezsporna jest prawda, że jeśli podejmiemy ów trud przenikania wiersza czy poety jako coś „samego w sobie", jeśli nie uszanujemy zasady wszechzależności zjawisk, zasady, która każe poezję widzieć także jako służbę społeczną — wszystkie nasze zabiegi wyrodnieją w jałowy proces dzielenia włosa na czworo, w bezpłodne rozkładanie całości wzruszenia poetyckiego na seminaryjne czynniki pierwsze.

Dlatego uważam, że w omawianiu almanachu (i nie tylko almanachu) popełniono istotny błąd, który — jeśli nie jest błędem ideologicznym — jest błędem chronologicznym.

IV

TRAKTUJĄC almanach paxowski — mimo wszystkich jego niedociągnięć redakcyjnych — jako w przybliżeniu pełne odbicie sytuacji młodej poezji katolickiej w Polsce współczesnej, warto pokusić się o ustalenie wymiarów i cech tego zjawiska poprzez konfrontację z tym, co prezentuje tradycja, z jakiej powinno to zjawisko wyrastać i której powinno być twórczą kontynuacją, dalej warto pokusić się o konfrontację młodej poezji katolickiej z zadaniami, które stawia jej sytuacja, zadaniami i możliwościami, które dla tej poezji stwarza możność uczestnictwa w najważniejszych przeobrażeniach naszej rzeczywistości, wreszcie pokusić się warto o zbadanie i określenie politycznych i potencjalnych szans poetyckiego oddziaływania młodych twórców na klimat naszego życia, na ustalające się także i poprzez kre jej cechy: zmniejszenie wymiarów dążenia poetyckiego, karlenie ambicji, zanik głębi wzruszeń, spłycenie spojrzeń ku Bogu; ogólnie mówiąc: anemia światopoglądowa, konspiracyjne, wstydliwe świadczenie swej wiary, zastąpienie modlitwy — paciorkiem, śpiewu kościelnego — mruczanką, spowiedzi serca i umysłu — grą na grzebieniu.

Ta anemia światopoglądowa przejawia się w młodej poezji katolickiej dwojako: albo w zdegradowaniu elementu przeżycia religijnego do funkcji deklaratywnego zdobnika, do funkcji ornamentu, który chce zastąpić fundament, albo w zastąpieniu treści religijnej dewocyjnym roztworem konwencjonalnej świątkowatości. W obydwu wypadkach inspiracja światopoglądowa zwęża się do konstruowania pomysłu wiersza jako utworu literackiego, nie przejawia się natomiast dostatecznie wyraźnie w nasycaniu tego utworu intelektualną, poznawczą siłą posiadanej prawdy.

Poezja cechująca się tymi słabościami godna jest tylko nazwy poezji uśpionego katolicyzmu. Katolicyzm ten odzywa się przez sen, w jego wizjach są poszczególne elementy rzeczywistości obiektywnej wrażone już w podświadomość, ale brak świadomego rozumienia, głoszenia i świadomego ukochania swej prawdy. Zarzut to szarpiący, bolesny, ale bolesne szarpnięcie jest czasami jedyną metodą budzenia ze zbyt długiego snu.

Konfrontacja naszej poezji uśpionego katolicyzmu z sytuacją, w której przyszło jej się rozwijać, i z zadaniami, które na poezję nakłada możliwość uczestniczenia w procesach przeobrażających życie naszego kraju, prowadzi również do wniosków bardzo dla nas bolesnych.

Mówiąc po prostu: nasza młoda poezja katolicka (a na dobrą sprawę, jeśli idzie o poezję katolicką, właściwie tylko taka istnieje) nie potrafi towarzyszyć tym przemianom świadomości katolików, których ideowo - politycznym wyrazem jest katolicki ruch społecznie postępowy. Nie tylko, że tego ruchu nie wyprzedza, że nie jest jego artystycznym rekonesansem, lecz z czerwoną latarką, zamykającą pochód, wlecze się bardzo, bardzo powoli.

Postawmy sprawę jasno: oczywistą jest rzeczą, że poezja mówi innym językiem niż polityka, że inaczej niż bezpośrednia działalność polityczna wyraża swój związek z rzeczywistością historyczną. Nikt nie ma zamiaru forsować postulatów, że poeci nasi powinni koniecznie zacząć pisać o Komisji Duchownych, o tym czy innym zebraniu wojewódzkim, o stosunkach Kościół — Państwo, czy Konkordacie z Rzymem. Wszyscy wyrośliśmy z postulatów tematycznych. I nie o to chodzi. Chodzi o wysnucie konsekwencji intelektualnych i moralnych z wniosku, że poezja jest także polityką, że jest także formą określania związków, formą — jak to powiedział jeden z młodych poetów — współdziałania z rzeczywistością historyczną. Nasza młoda poezja katolicka nie potrafiła jeszcze z rozumienia tej prawdy wyciągnąć koniecznych konsekwencji intelektualnych i — co równie ważne, jeśli nawet nie ważniejsze — konsekwencji moralnych.

Wyraża się to trojako: albo w powierzchownym, przede wszystkim tematycznym zaangażowaniu we współczesność, albo w niemoralnym traktowaniu płytko pojmowanych treści politycznych jako koniecznego domiaru ideologicznego, przy jednoczesnym rezerwowaniu całej swojej żarliwości poetyckiej dla tzw. liryki osobistej (co za nonsensowny i jak młodzieńczo naiwny podział!) albo wreszcie w separowaniu się zupełnym od tzw. „brudnej roboty poetyckiej" (termin dowodzący tylko fałszywych ambicji ludzi o postawie niepokalanych rąk). Oczywiście, wszystkie te trzy postawy — niezależnie od woli autorów — mają określony charakter, określoną funkcję polityczną. Ważne we wszystkich trzech wypadkach jest wspólne dla nich (choć różne w stopniu natężenia) spłycenie poznawczych zadań sztuki poetyckiej, zubożenie poezji o jej wielką szansę udziału w przemianach świata, pyszne, a właściwie pyszałkowate wyrzeczenie się realnego miejsca poezji wśród ludzi na rzecz zapatrzenia we własny pępek.

Konfrontując wreszcie naszą młodą poezję katolicką z jej konkretną funkcją społeczną, z jej ambicjami poszerzenia tej funkcji do maksimum dostępnego każdej poezji — trzeba znowu sformułować wniosek bolesny.

Nawet nasi najmłodsi mają pewność siebie na miarę co najmniej klasyków. To znaczy są przekonani, że czytelnicy upatrują tak wielkie walory w ich poezji, iż podejmą trud rozwikłania choćby najzawilszych szyfrów, będą szukali klucza choćby w największym wysiłku, byle otworzyć pustawe sezamy. To lekceważenie zagadnienia komunikatywności, zagadnienia, które pewni siebie młodzieńcy są skłonni po prostu wyśmiewać, ma bardzo niepokojące przyczyny: zanik ambicji oddziaływania, rezygnację z czytelnika, którego z tej racji, że nie rozumie rzeczy niezrozumiałej, traktuje się per nogam, pocieszając się tym, że niezrozumiałe rzeczy są rozumiane przez krewnych, dobre ciocie i miłych przyjaciół. Zapomina się, że utwór to nie tylko słowo i myśl, słowo i uczucie, lub też, że to nie tylko ewenement towarzyski, ale także fakt społeczny.

Studiując paxowski almanach, zerkając do niego jako do zwierciadła odbijającego stan współczesnej poezji katolickiej, realizowanej przez młodych twórców — stwierdzić trzeba przede wszystkim smutne fakty określone z grubsza w powyższych wywodach, a więc: anemię światopoglądową, powierzchowność ideologicznego zaangażowania w przemiany życia współczesnego i nikłe rozumienie poezji jako faktu społecznego, którego jednym z najistotniejszych określników jest jego funkcja społeczna.

Stwierdzenie to tym boleśniejsze, im wyraźniejsza dysproporcja między historycznym zapotrzebowaniem na głęboką światopoglądowo, aktywną ideologicznie i komunikatywną społecznie poezję katolicką, a niemal indyferentną, niemal marginesową, niemal ekskluzywną twórczością młodych reprezentantów tego, co w poezji powinno być katolickie. Dysproporcje te są tym wyraźniejsze, że przecież dzisiaj chyba bardziej niż kiedykolwiek ważne jest dojrzałe, twórcze i wyraźne świadczenie prawdzie światopoglądu katolickiego, tak jak bardziej niż kiedykolwiek decydujące staje się dojrzałe, twórcze i wyraźne zaangażowanie w przemiany współczesności i wreszcie tak jak bardziej niż kiedykolwiek istotna jest społeczna funkcja każdego zjawiska, każdego poety, każdego wiersza.

Oczywiście, jeśli nadałem swoim sformułowaniom krytycznym wobec młodej poezji katolickiej tak ostre brzmienie, to nie znaczy, że nie dostrzegam w tym zakresie żadnych pozytywnych objawów, że do wszystkich bez wyjątku poetów i do wszystkich wierszy umieszczonych w almanachu adresuję swoje gorzkie żale.

Bynajmniej. Widzę wyjątki. Cieszę się wyjątkami. Ba, więcej: uważam, że almanach sygnalizuje już poetyckie przeciwdziałanie tym słabościom, które musiałem dość obcesowo i — przyznaję to bez żenady — trochę niegrzecznie zaatakować. Widać w poetyckim zbiorze „Paxu" pierwsze bardziej zdecydowane i bardziej skuteczne formy naprawy tych błędów, które są dla nas wszystkich szczególnie bolesne. Są w almanachu — i poza almanachem — tacy, których nie zawsze określa blednica światopoglądowa; są tacy, dla których zagadnienie związku ich poezji z najrzetelniej pojętym przeżywaniem rzeczywistości współczesnej nie jest tylko zagadnieniem taktycznym, wersyfikacyjnym czy kwestią heroicznie (lub może tragikomicznie?) pojętej pozy, lecz sprawą sumienia, sprawą kontaktu z drugim człowiekiem; są wreszcie i tacy, którzy postulatu komunikatywności nie prymitywizują w łatwej ironii na temat „stu wierszy o sadzeniu grochu", lecz realizują go jako nakaz odpowiedzialności moralnej za społeczny żywot swojego utworu. Ale to są wyjątki. Mimo sporego dla nich szacunku, mimo żywo związanych z ich rozwojem nadziei uważam ogólną ocenę dotychczas sformułowaną za ocenę ogólnie słuszną i — przynajmniej w moim przekonaniu — zobowiązującą.

V

Zobowiązującą? Do czego?

Przede wszystkim do określenia przyczyn skonstatowanych niedoborów. A w konsekwencji do uzupełnienia braków, do walki z fałszywymi stanowiskami czy fałszywymi uwarunkowaniami, powodującymi stan niedowładu, powodującymi ideologiczno - artystyczne brakoróbstwo lub bumelanctwo.

Zastanówmy się. Jest moment historyczny prowokujący to, co chce się nazywać poezją katolicką, do wzmożonej aktywności, do wzmożonego poczucia sensu swego istnienia. Zadania rehabilitacji funkcji społecznej katolicyzmu, zadania równoprawnego uczestnictwa w wielkim dyskursie wieloświatopoglądowym naszej epoki — czyż to nie dostateczne i nie jedno z najbardziej twórczych wyzwań i wezwań historii? Przecież katolicyzm i kultura katolicka i katolicka literatura, a więc także i poezja katolicka zawsze zdobywała się na realizację swoich najistotniejszych wartości właśnie w momentach konfrontacji historycznych, właśnie w sytuacjach wymagających pełnej mobilizacji twórczych sił. Więc?...

Zastanówmy się. Przecież w almanachowym zestawie młodych twórców — choć żaden z nich nie jest na miarę Fidiasza — wielu to poeci serio utalentowani. Bądźmy uczciwi: większość. I kultury literackiej tym adeptom sztuki poetyckiej nie brak, i talentu im Bóg nie poskąpił.

Zdawałoby się przeto, że i zewnętrzne, i wewnętrzne warunki sprzyjają narodzinom lub raczej odrodzeniu głębokiej, rzetelnej poezji katolickiej. Tymczasem... Góra rodzi mysz.

Dlaczego?

Pytanie to tak śmiało postawione (aczkolwiek nie w tytule), rozwiązać by należało choćby z największym bólem. Według moich dotychczasowych przemyśleń rozwiązanie najprawidłowsze (w każdym bądź razie dla mnie) zamyka się w następującym rozumowaniu.

Między obiektywnym rozwojem sytuacji historycznej a subiektywnym stanem świadomości społecznej młodych twórców współczesnej poezji katolickiej w Polsce istnieje wyraźna dysproporcja, wyrażająca się odmiennością rozumienia stosunku między jednostką i społeczeństwem. Dysproporcja ta polega na tym, że

*(Dokończenie na str. 7)*

# WITOWIAŃSKIE

## V Droga

*Jeszcze tu wrócę drogą powrotną*
*Dnem umarłego dawno strumienia*
*Wrócę sam.*
*Nocy bezgwiezdna, której nie dotknę*
*Gdy świt w kamienną mgłę Ciebie zmienia*
*Tobie gram.*
*Nie wam zgubieni w krętych zabiegach*
*Tak bardzo trudni — za mało prości*
*Nie wam.*
*Próg mnie przywita, późnego zbiega*
*Gdzie rzeka śpiewa radość miłości*
*U bram.*

## VI Świerki

Ein Fichtenbaum steht einsam
in Norden
Heine.

*Drzewne zastępy porozlewane dzikim potokiem*
*Jakie gorące jak upragnione płoną obłoki*
*W świecznikach świerków.*

*Na dnie snów waszych palmy kołyszą gwiazdę południa*
*I ogień tęskni — ogień świecący z oślepłych studni*
*Złotym lusterkiem.*

*A tutaj sosny — siostry północne i mgły kamienne,*
*Poszóstny poszum kiedy rozdziera iglastą wełnę —*
*Styczeń ją zwęgli.*

*I ciemność w której wołają drzewa nie wiedząc po co*
*Z kształtu podobna sercu gdy nagle bezgwiezdną nocą*
*Tonie w przerębli.*

## VII Piosenką

*W Irlandii małe róże ciemnieją przed wieczorem*
*A tutaj ryży burzan i zimny deszcz nie w porę*
*A tutaj senna sowa co nie chce jeść z mej ręki —*
*Na sercu mi położą ten kamień dla udręki.*
*I sen mnie zetrze czarny jak sęp nad krzywą wieżą*
*W pogrzebie pójdą sarny i krzyżem mnie odmierzą.*
*Odchodzi górska panna — na dłani rosę niesie*
*Nie wzejdzie mi hosanna — po głuchym wołam lesie.*

## VIII List

*Świeci ironią bez łzy i zimny wiersz Jana Giraudoux.*
*Mój list — elegia ciemna jak hymny płaczące w gniazdach snu.*
*Ty nie odczytasz słów, które krwawią na ostrzu chmury*
*Ani ci wskaże ile miłości wzniosłem do góry.*
*Za późna młodość wczesną udręką toczy się wąsko*
*List mój zgorzeje w przelotnym ogniu uschłą gałązką.*
*I łza co w słowach gaśnie jak iskra — zbudzi się w śpiewie. —*
*Ma jeunesse avec qui — Nie wiesz?... I nikt niech nie wie.*

Witów, lato 1953.

rys. Krystyna Maślanka

*ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI*

# CZŁOWIEK WŚRÓD DZIEJÓW

WZNOWIENIE „Żelaznej korony"*) nie jest tylko przypomnieniem pięknych początków pisarstwa historycznego Hanny Malewskiej — przypomnieniem pierwszego ogniwa łańcucha przedłużonego później o tak wspaniałe utwory, jak „Kamienie wołać będą" i „Przemija postać świata". Słowo „łańcuch" nie jest zresztą tutaj najszczęśliwiej użyte — kojarzy się bowiem z cyklem rozwojowym, w którym następne stadia są lepsze, bogatsze, pełniejsze niż poprzednie. Tymczasem — jeśli nawet spotykamy się ponownie z bohaterami „Żelaznej korony" tuż po lekturze „Przemija postać świata" — uderza nas jakaś niezwykła pewność i niezmienność spojrzenia Malewskiej na historię — nie mająca bynajmniej nic wspólnego z twórczą skostniałością i autoimitacją. Jest w „Żelaznej koronie" ta sama „barwa świata", ten sam smak dziejów, co w powojennych powieściach historycznych Malewskiej — i dlatego próba analizy i oceny tego utworu pociąga za sobą niespodziewaną dla krytyka konieczność zajęcia stanowiska wobec metody twórczej w ogóle autorki „Przemija postać świata".

Wybór epoki dokonany w „Żelaznej koronie" miał stać się niezwykle znamienny i typowy dla całej późniejszej twórczości Malewskiej w zakresie powieści historycznej. Czasy Karola V — to jeden z węzłowych punktów historii politycznej nie tylko Niemiec, Hiszpanii, Włoch czy Francji, ale i całej Europy — więcej: to skłon w dziejach kultury i myśli ludzkiej, oddzielający trudny zmierzch starego od równie trudnych narodzin nowego. W „Żelaznej koronie" toczy się nieustanna walka między pozostałościami przeszłości, zalążkami przyszłości (i to w każdej dziedzinie życia ludzkiego!) zawartymi w teraźniejszości. Narodziny Reformacji, wystąpienie nie tylko i nie przede wszystkim w dziele Machiavela) nowej koncepcji państwa i władcy na arenę historii, przełom stylu życia i myślenia człowieka — wszystko to zostaje uchwycone przez Malewską niejako *in flagranti*, wśród stawania się i krystalizowania. To zamiłowanie do epok, w których łatwo zagubić się i poplątać nie tylko ich bohaterowi — o wiele łatwiej jeszcze widzowi, a przede wszystkim badaczowi — miało pozostać Malewskiej do dziś.

Zofia Starowieyska-Morstinowa we wstępie do „Przemija postać świata" słusznie zwróciła uwagę na to, że Malewskiej lepiej udają się w literackiej obróbce postacie historycznych, niż fikcyjnych bohaterów. Tak jest i w „Żelaznej koronie". Tutaj coś znaczą właściwie tylko ludzie znani nam z historii — ciekawią ich dzieje zanotowane i oświetlone przez wiele dokumentów i prac naukowych. Malewska trudzi się nie tyle wokół wzbogacenia tych dziejów i ludzi fikcyjnymi zdarzeniami — ile pragnie nadać postaciom swoich bohaterów charakter jak gdyby symbolu reprezentowanych przez nich postaw życiowych i dzięki temu zorientować siebie i czytelnika w prawdziwym układzie sił w danej epoce. Dlatego król francuski Franciszek jest w „Żelaznej koronie" typem-symbolem władcy wyznającego zasadę „cel uświęca środki; polityka wiernego jedynie własnym koncepcjom — Wenecjan Pompeo Navagero; polityka wiernego ojczyźnie, której służy tak samo, lecz głównie jako żołnierz — kawaler Pont-Remy. Kim zaś jest Arrigo, najbardziej chyba niespokojny i wieloznaczny bohater powieści? W koncepcji Malewskiej staje się on typem człowieka poszukującego prawdy, ale zarazem dufnego w siłę jedynie własnego rozumu, nie liczącego się z nikim i z niczym poza własnym zdaniem — typem heretyka, zastępującym nieobecnego bezpośrednio na scenie powieści Marcina Lutra.

Przy pomocy tych niewielu postaci, ich dziejów osobistych splecionych nierozerwalnie z historią epoki umożliwia Malewska czytelnikowi wgląd w czas i okoliczności narodzin nowożytnej kultury europejskiej. Jest w metodzie pisarskiej autorki „Żelaznej korony" duże, acz niecałkowite podobieństwo do oglądu przeszłości przez Reinholda Schneidera, twórcy znanego polskiemu czytelnikowi „Oskarżenia". Tylko że Schneider dokumentował w ten sposób tezę aktualną, mającą znaczenie i zastosowanie nie tylko w jednym okresie historycznym — Malewskiej zaś chodziło przede wszystkim o znalezienie prawdy o epoce, prawdy o człowieku, którego życie i działalność były nierozerwalnie z tym przełomem szesnastowiecznym zrośnięte.

Takim człowiekiem jest w oczach Malewskiej cesarz Karol V, na którego barki spadł trudny do podźwignięcia ciężar pogodzenia starego z nowym, jakiejś konstruktywnej obrony dawnego stanu posiadania nie tylko w sensie politycznym, ale i światopoglądowym. Władca Niemiec i Hiszpanii, głęboko wierzący katolik, a nadto człowiek z trudem zdobywający wiedzę o goryczy i niewdzięczności podjętej przez siebie misji — oto postać, przez której życie Malewska patrzy na bieg historii, jego skręty, przełomy i... załamania. Nie dziw więc, że wątek Karola V jest w „Żelaznej koronie" pierwszoplanowy, że wszystkie inne sprawy i ludzie z wątkiem tym się łączą, oświetlają go i interpretują. Ale też Karol V jest dla Malewskiej kimś więcej niż — chociażby najznaczniejszą — sylwetką historyczną.

Jest w postaci cesarza Niemiec, a zwłaszcza w jego życiu, w walce o doczesny sens tego życia wyraźne znamię ponadczasowości, którego nie wolno utożsamiać z wyrwaniem i postawieniem człowieka poza historią. W interpretacji doczesnej wędrówki Karola V ujawnił się bowiem dobitnie katolicyzm Malewskiej — jego trafne zastosowanie do tłumaczenia historii, a raczej roli w niej i znaczenia człowieka. Malewska poprowadziła bieg akcji w „Żelaznej koronie" w ten sposób, aby jak najwszechstronniej wytłumaczyć i uzasadnić jeden moment w życiu Karola V, pozornie najmniej ważący dla historii politycznej i kulturalnej tego okresu — moment abdykacji, ustąpienia tronu własnemu synowi, nie podyktowanego bezwzględną koniecznością. Monarcha, który swoje władanie traktował po prostu jako powołanie życiowe — wiele trudu pisarskiego wkłada Malewska w udokumentowanie takiej hipotezy — rezygnuje nagle z niego dobrowolnie, usuwa się w cień tworzonej dopiero co przez siebie historii! Wynika to oczywiście ze zrozumienia znikomości wysiłków włożonych w naginanie biegu historii do własnych pragnień i koncepcji politycznej obrony katolicyzmu przed niebezpieczeństwami pozornie tylko politycznymi — ale nie tylko z tego. Abdykacja Karola V nie jest rezygnacją zgorzkniałego i zawiedzionego człowieka — jest głębokim, aczkolwiek późnym zrozumieniem sensu własnego życia, znalezienia miejsca w historii, wynikającym z zastosowania do niej tej mądrości, jaką zawiera Ewangelia. Karol V poznaje u schyłku życia, że ani bezwzględne poleganie na samym sobie i uczynienie Pana Boga opiekunem i patronem własnych planów, ani bierne poddanie się biegowi zdarzeń (krańcowo zresztą obce naturze cesarza niemieckiego) — nie jest właściwą drogą przez współczesną sobie epokę. Jest w tej wizji życia cesarskiego jakaś wielka przestroga przed zaniedbywaniem Bożych natchnień, przed chociażby najmniejszym uchyleniem się od współpracy z łaską. Pisarka — wiedząc, że operuje tutaj w materii trudnej do zbadania i przekazania czytelnikowi — mówi o tym istotnym sensie miejsca człowieka wśród przemian historii nie przy pomocy odautorskiego komentarza, ale kontekstem sytuacyjnym, aluzyjnością i symbolicznością opisu. Dlatego — podobnie jak w historii — w życiu bohaterów „Żelaznej korony" (wszystkich, nie tylko Karola V) Malewska wybiera momenty i epizody węzłowe, świadczące niejako o osi symetrii tego życia, jego kierunku w stronę dobra lub zła.

Tutaj dotykamy ważnej sprawy: specyfiki wizji historycznej Malewskiej — kto wie, czy nie istoty jej kunsztu pisarskiego. Krytycy i badacze literatury, a także czytelnicy przyzwyczaili się do tego, że twórca powieści historycznych jest niemal z reguły epikiem — charakteryzującym epokę i ludzi poprzez wielowątkową akcję, rysującą możliwie najpełniejszy obraz przeszłości. Tymczasem epickie (w takim sensie) spojrzenie na świat jest Malewskiej zasadniczo obce, co burzy ustalony schemat badawczy i... odbiorczy, wywołuje konieczność zdobycia i przyzwyczajenia czytelnika do stylu (w szerokim sensie) autorki „Żelaznej korony". Książka ta nie jest łatwą lekturą — myślę, że w tym tkwi jedna z przyczyn, dla których paxowskie wydanie „Żelaznej korony" jest dopiero czwarte. Wielość wątków jest w omawianym utworze zastąpiona niejako przez wielość epizodów, których rola i waga w życiu poszczególnych bohaterów i w przemianach epoki składa się na mocny, choć nie epicki, szkielet konstrukcyjny akcji. Epizodom „Żelaznej korony" (jak zresztą i w późniejszych powieściach historycznych) nadaje Malewska mocny akcent dramatyczny, dynamizując je umiejętnie przy wykorzystaniu szczególnie punktów szczytowych, kulminacyjnych.

Wskutek takich zabiegów potęguje się niepomiernie plastyczność ujęcia przez Malewską centralnego dla niej problemu: losów człowieka wśród przemian historii, ich wzajemnych powiązań i zazębień. Przypomina to bardzo metodę pisarską Undset — aczkolwiek analogia nie jest na pewno zupełna. Niech to się nie wyda bluźnierstwem krytyka — ale Malewska odznacza się większą pasją badania sensu historii niż autorka „Krystyny córki Lavransa". Konkretyzuje ona bardziej — o ile to można sądzić — swoich bohaterów w przestrzeni i czasie, pokrywając ich subtelną, niejaskrawą polichromią i patyną przeszłości. Dla Undset ważny jest przede wszystkim dramat człowieka — dla Malewskiej dramat człowieka w danej epoce.

Czy „Żelazna korona" daje pełną prawdę artystyczną o czasach przełomu średniowiecza w Odrodzenie i Reformację? Nie, ale nie można z tego czynić autorce zarzutu. Przed wszystkimi innymi postaciami zainteresowała bowiem Malewską sylwetka Karola V — przed wszystkimi innymi historiami osobistymi składającymi się na dzieje tamtych czasów — porwał ją dramat jego życia. Dlatego „Żelazna korona" jest głównie opowieścią o człowieku, który próbował wziąć na barki brzemię swoich czasów — o człowieku szukającym przeznaczonego mu przez Boga miejsca wśród przemian dziejowych. Z tego punktu widzenia „Żelazna korona" jest książką bliską każdemu z nas.

*) Hanna Malewska: Żelazna korona. Wydawnictwo „Pax", Warszawa 1954. Wydanie IV, s. 451.

JACEK ŚCIEŻYŃSKI

# UWOLNIONY Z MITÓW

*W ogólnym kulcie muzyki Fryderyka Chopina nie tylko największego naszego kompozytora ale i jednej z pierwszych indywidualności w całej polskiej sztuce, nie zbrakło, niestety, na przestrzeni lat dzielących nas od jego śmierci tendencji szkodliwych, powodujących powstanie niesłusznych ocen i poglądów.*

*W miarę wzrostu popularności muzyki Chopina wzrasta liczba jego wielbicieli i biografów. Zrozumiawszy i oceniwszy dzieło szuka się obrazu twórcy, rośnie potrzeba poznania jego dzieła, środowiska, które wydało geniusza tej miary. Mnożą się więc literackie portrety kompozytora, mnożą studia nie zawsze jednak wierne prawdziwemu jego obliczu. Obok wnikliwych, starannie opracowanych monografii powstają dzieła wątpliwej wartości, życiorysy wyrosłe z przypowieści, anegdot i świadomego brązownictwa.*

*Historia zna wiele podobnych przypadków. Chopin jak Mozart, jak Paganini, jak wszyscy przerastający otoczenie nie mógł w świadomości epoki istnieć bez aureoli bohaterstwa, w szarzyźnie codziennych spraw i sprawek. Tak się już przyjęło, że z wielkim artystą łączy się wielką biografię. Zrozumiałe jest, że odbiorcy znajdujący się pod działaniem tworzywa Byrona, van Dycka czy Beethovena szukają w ich dziełach nieprzeciętnych wielkich przeżyć, a w wypadku, gdy życie bohatera poskąpi powieściowej fabuły, dopełniają jej sami dając w ten sposób początek przyszłym mitom i nieścisłościom historycznym.*

*Tak właśnie stało się w wypadku Chopina.*

*Ledwie przebrzmiały żałobne tony na cmentarzu Père Lachaise, ledwie wieść o śmierci pierwszego muzyka Rzeczypospolitej dotarła do Warszawy, a już wokół osoby kompozytora zaczęła powstawać legenda. Chopin — bohater narodowy, Chopin — największy polski artysta urastał stopniowo w oczach współczesnych do symbolu świętości. W konsekwencji tego stanowiska życiorys kompozytora uległ „poprawkom" i „uzupełnieniom" przyczyniającym się do zrodzenia nieprawdziwego poglądu na jego osobę. Pogląd ten pokutował przez wiele lat i stracił rację bytu dopiero dzięki krytycznym prądom naszego stulecia, dążącym do przedstawiania zjawisk w możliwie czystej, wolnej od naleciałości formie.*

*Pisząc na wstępie o szkodliwych tendencjach urabiających niesłuszne poglądy na Chopina, miałem jednak głównie na myśli tendencje wypaczające muzyczny język kompozytora. Wypływały one częściowo z pojęć estetycznych epoki rozkładającego się romantyzmu i charakteryzowały się ckliwym, przesubtelnionym, pełnym przesadnej uczuciowości rozumieniem dzieł polskiego muzyka. Wypaczając treść dzieła urabiały zarazem pogląd, że ten sposób rozumienia muzyki polonezów, walców i nokturnów jest jedynie prawdziwy, gdyż pokrywa się z psychiczną konstrukcją kompozytora. Zgodnie z tym poglądem Chopin wyrósł na zniewieściałego ulubieńca salonów, a dzieło jego stało się pocieszeniem sentymentalnych panien roniących łzy przy Wertrze. Nic więc dziwnego, że reakcją na ten stan rzeczy było odsunięcie się od twórczości Chopina, uznanie jej za chorobliwą, niepotrzebnie roztkliwiającą, szkodliwą.*

rys. Roman Madeyski

*Żelazowa Wola*

*Nasze czasy przyniosły inne spojrzenie na życie i twórczość Fryderyka Chopina. Osoba twórcy mazurków uwolniona została z większości mitów. Wchodząc między ludzi w zwykłej, codziennej szacie stała się ludziom tym bliższa, bo bardziej swojska, bo bardziej podobna do nich samych. W czym miałaby ucierpieć wielkość muzycznych strof Chopina, jeżeli odkryto, że twórca jej nie pozbawiony był wad i słabości, że popełniał błędy, potrafił być wesoły do szaleństwa i zły jak gradowa chmura. Że lubił kobiety, miał przyjaciółki, do których pisywał bardzo intymne listy, że umiał rachować i bronić swoich interesów u wydawców, że żył, myślał, analizował jak setki ludzi jego czasów. Jak to dobrze, że mało kto wierzy dziś jeszcze w Chopina nieustająco tragicznego, w Chopina łzawego, w Chopina maltretowanego przez panią Sand!*

*Innymi kryteriami ocenia się też dziś muzykę mistrza Fryderyka. Odstąpiwszy od mylnych założeń interpretacyjnych pianiści a z nimi słuchacze podążają po klawiaturze za myślą kompozytora niby w ogród ulubionych wędrówek. Cóż tam znajdują? Chopina zniewieściałego, roztkliwiającego, szkodliwego?*

*Chopin dzisiejszy jest wesoły i melancholijny, pełen buntu i cierpienia, ale nigdy łzawy. Tęskni do ziemi ojczystej, do ludzi swojej młodości, w tęsknotach zaś tych jest zaduma, smutek ale nie ckliwość. Walczy o sprawę narodową całą pasją wielkiego artysty, woła o Polskę głosem silniejszym ponad jarmarki polityczne. Przemawia sztuką tak swoistą i charakterystyczną, że kilka zaledwie taktów ballady, poloneza czy impromtu pozwala odkryć w nim autora nawet słabo muzycznie zorientowanym ludziom. Jest odkrywczy, pomysłowy, indywidualny. Wędruje po strunach fortepianu nieraz aż przeładowany od nurtujących treści, nieraz zaś ledwie sprowokowany nastrojem. Zdumiewa melodyjnością, śpiewnością oraz klimatem tak pełnym poezji, że śmiało można by go nazwać muzykiem - poetą.*

*Dzisiejsza interpretacja Chopina nie pokrywa się na pewno z interpretacją obowiązującą w okresie, gdy żył jeszcze sam kompozytor. Wpłynęły na to i inne kryteria estetyczne naszej epoki i znaczny postęp techniczny. Pewne jest jednak powtarzając za wybitnym pedagogiem i pianistą prof. Drzewieckim „że niewątpliwie byli, są i będą bliżsi Chopina ci pianiści, którzy nie nadużywają jego muzyki dla wirtuozowskiego popisu, którzy nie wtłaczają go w ciasne ramki chorobliwego sentymentalizmu i łzawej czułostkowości, którzy uświadamiają sobie rolę i znaczenie ustępów polimelodycznych, płynność i wagę akompaniamentu, wokalność nut ozdobnych; którzy umieją uszanować autentyczne wskazówki interpretacyjne i potrafią się wżyć w klimat i nastroje jego wyrazu. Prostota i naturalność, śpiewność każdej frazy i myśli muzycznej, umiar i płynność w stosowaniu rubata winny być głęboko odczute i rozważone. Wreszcie nieprzekraczanie naturalnych granic dźwięku fortepianu bądź w kierunku wzrostu natężenia fortissima aż do przebijania instrumentu, bądź kontrastowego poszukiwania impresjonistycznych efektów ledwie dosłyszalnych „mgiełek" i „zefirków" brzmieniowych, jak i unikanie takich rekordowych temp, które zniekształcają sens muzyczny utworu i przekraczają to pewne optymalne tempo, ktore niewątpliwie daje się wyczuć i ustalić w ramach danej koncepcji dźwiękowej — oto dalsze momenty do przemyślenia".*

*Muzyka Chopina mimo wybitnie narodowych cech znalazła odbiorców na całym świecie. Stanowisko zagranicy pozbawione więzi uczuciowej, jaka łączy ucznia Elsnera z polskim słuchaczem ocenia jego twórczość bardzo wysoko. Istotnym przykładem może tu być fakt, że znany angielski muzykolog prof. Artur Hedley oczarowany muzyką Chopina specjalnie nauczył się języka polskiego i był kilkakrotnie w Polsce, by lepiej jeszcze w ten sposób zbliżyć do siebie dzieło wielkiego Polaka. Znany też jest wpływ Chopina na późniejszą twórczość pianistyczną Skriabina, Rachmaninowa, Debussy'ego i wielu innych. Tym surowsze wobec tego faktu wydają się krytyczne słowa Karola Szymanowskiego, skierowane pod adresem kompozytorów „Młodej Polski", których to sens odnosi się też częściowo niestety do muzyków współczesnych.*

*„Przy całym bezkrytycznym, religijnym prawie kulcie Chopina — bohatera narodowego, nie był on nigdy w pełni zrozumiany jako wielki polski artysta, wskutek czego jego bezcenne dzieło pozostało bezpłodne, pozostało wartością samą w sobie, na marginesie niejako dalszej polskiej twórczości muzycznej. Dzieło zaś wielkiego artysty nie przestaje być wiecznym źródłem żywej, twórczej siły wtedy jedynie, gdy zajmie w narodowej świadomości kulturalnej należne mu, najzupełniej określone i pozbawione wszelkiego sentymentalizmu stanowisko".*

*W twórczym zetknięciu ze sztuką Chopina muzycy nasi uświadomić sobie powinni właściwe drogi niezawisłości muzyki polskiej, drogi „po której nikt po nim pójść nie chciał czy nie zdołał".*

*Jacek Ścieżyński*

ZDZISŁAW UMIŃSKI

# W cieniu oliwek tunezyjskich

*TYM razem p. Edgar Faure, współpracownik byłego premiera Francji, a obecnie jeden z kandydatów na szefa rządu, rzeczywiście miał rację. Gdy bowiem witając Mendès-France'a na dworcu wschodnim w Paryżu po jego powrocie z Rzymui Baden-Baden, usłyszał wypowiedziane przezeń żartobliwym tonem słowa: „oto powraca Ulisses" — odpowiedział, że w istocie, premier przypomina chytrego króla Itaki, dodał jednak natychmiast, iż w Izbie czeka go przeprawa przez... Scyllę i Charybdę.*

*Faure'owi chodziło o sprawę Algeru i Tunisu.*

*I pomyśleć, że właściwie wszystko zaczęło się od błahego na pozór wypadku w roku 1827. Bej Algeru zadarł wtedy z konsulem francuskim. Doprowadzony do ostateczności wykrętami i przeciąganiem pertraktacji uderzył w czasie audiencji p. Devala w twarz... zwykłą packą na muchy. Brak obycia dyplomatycznego krewkiego beja sprowadził inwazję Francuzów, którzy w krótkim czasie zajęli miasto i całą prowincję, chociaż nigdy nie potrafili zapewnić sobie trwałego spokoju. Przez 13 lat opierał się najeźdźcom legendarny Abd-el-Kader, a w roku klęski pod Sedanem wybuchło powstanie Kabylów, wspomagane przez Anglików. Potem, już w czasach nam prawie współczesnych, chwycił za broń Abd-el-Krim.*

*Z Algeru łatwiej już można było zdobyć Tunis, kraj nie tylko urodzajnych pól pszenicy i gajów oliwnych, ale również bogatych pokładów fosfatu, ołowiu, cynku, rud żelaznych i manganowych, rtęci i srebra. Łatwiej również można było opanować dzikich Berberów w Maroku.*

*Gdy w roku 1943 alianci przełamali linię Mareth, ostatnią linię obronną korpusu afrykańskiego, walczącego już bez „lisa pustyni", gdy jeszcze broniła się tylko twierdza w Bizercie — miejscowi, muzułmańscy politycy pokładali niemałe nadzieje w Karcie Atlantyckiej, mówiącej o samostanowieniu narodów. Wierzyli w to zwłaszcza przedstawiciele nacjonalistycznego stronnictwa Neo-Destur. Jednak Legia Cudzoziemska rozwiała te nadzieje. Potem Neo-Destur w Tunisie, a Istiqlal w Maroku wybrały drogę współpracy, tym bardziej, że kolonizatorzy francuscy nie zamierzali wówczas rezygnować z najmniejszego nawet uszczuplenia swoich wpływów w Afryce. Zresztą żyło im się tutaj nieźle od czasów ostatniego z Bourbonów, a już sam Balzac jednemu ze swoich bohaterów kazał robić brudne interesy właśnie w Algerze i Tunisie.*

*Zachętą dla nacjonalistów do współpracy z Francuzami były zarówno spodziewane własne korzyści jak i proponowane „reformy", które miały zaspokoić ambicje „narodowe". Umiejętne propagowanie tych ewentualnych „zdobyczy politycznych" miało także podnieść znaczenie partii w opinii mas. Reformy te sięgają roku 1945, kiedy to w Maroku a potem z mniejszym powodzeniem w Tunisie wydano ustawę, która miała ukrócić nadmierne monopolizowanie ziemi. Określała ona własność rodzinną gruntu, ustaloną na 5 hektarów, jako nietykalną. W praktyce jednak ustawa ta nie zapobiegła nadużyciom, a drobni właściciele nadal byli obdzierani ze skrawków ziemi, które stanowiły dla nich jedyne źródło utrzymania. Ten coraz silniejszy proces przechodzenia ziemi z rąk krajowców w ręce obszarników francuskich wyjaśnia dlaczego np. w Algerze, gdzie na 7 mln. mieszkańców jest tylko 1 mln. Europejczyków, jedna trzecia ziemi do nich właśnie należy. I aż do roku ubiegłego poprzestano właściwie na tej jedynej reformie. Dopiero kiedy premierem został Mendès-France, który zamierzał wejść w Afryce na drogę ograniczonych reform — Francuzi wystąpili z nowymi propozycjami. Między innymi obiecywano Tunisowi tzw. „autonomię wewnętrzną", która zresztą narodowi tunezyjskiemu niewiele mogła przynieść korzyści. Wystarczyło to jednak, aby miejscowi koloniści uznali ten krok za dowód słabości i... naruszenia ich interesów.*

*Rokowania w tej sprawie podjęto już przed 4 miesiącami. Utknęły one jednak na martwym punkcie przede wszystkim z powodu tzw. układu wojskowego, który miał rozstrzygnąć sprawę policji, ustalenia zasad sądownictwa i szkolnictwa. Sytuację zaogniło jeszcze bardziej wystąpienie byłego ministra Salah ben Youssufa, przebywającego obecnie „na wygnaniu" w Kairze, a działającego w interesie Ligi Arabskiej, który domagał się dla Tunisu zupełnej niepodległości. Demonstracje polityczne nacjonalistów tunezyjskich miały ten skutek, że wśród wyższej warstwy osiadłych w Tunisie Francuzów zrodziła się poważna obawa przed ewentualnymi następstwami tych wystąpień. W rozmowach prywatnych starali się osłabić siły przeciwnika, wykorzystując lokalne ambicje i podburzając miejscowych paszów przeciwko panislamizmowi, kierowanemu z Kairu oraz przeciwko nacjonalistycznemu Istiqlal z Maroka, dążącemu do rozszerzenia własnych wpływów w Afryce Północnej. Jednakże ze względu na słabe tendencje „dzielnicowe" poszczególnych dostojników tego rodzaju polityka nie zawsze może rokować nadzieje.*

*Z podobną odprawą spotkały się próby reform w Algerze. Przedstawiciele bogatych okręgów rolniczych przeciwstawili się nawet propozycji utworzenia szkoły administracyjnej, która miała umożliwić miejscowej ludności obejmowanie z czasem odpowiedzialnych stanowisk w urzędach publicznych.*

*Gdy więc przed paroma tygodniami stanął Mendès-France przed Izbą deputowanych w obronie swojej polityki kolonialnej — poniósł klęskę. Gdyby zastanowić się nad jego linią polityczną w Afryce można by powiedzieć, że — jak pisał „Times" — starał się utrzymać równowagę między umiarkowanymi reformami a niezbyt gwałtowną akcją policyjną. Oczywiste jest jednak, że tego rodzaju polityka nie mogła zakończyć się sukcesem, a upadku jego żadną miarą nie można tłumaczyć sprawą afrykańską. Musiał on zapłacić za całość swojej polityki, a nie tylko za próby nieśmiałych reform w Afryce. Wystąpili bowiem przeciwko niemu zarówno ci, którzy widzieli w nim „Męża remilitaryzacji Niemiec", jak i ci, których interesy podeptał w Indochinach, a zamierzał to samo uczynić w Tunisie, Algerze i Maroku. Koloniści z Północnej Afryki nie chcieli podzielić losu kolonistów z Indochin, chociaż stosowanie rządów „silnej ręki" i wzmaganie terroru może skończyć się zupełnym upadkiem wpływów francuskich w tej części czarnego kontynentu. Dalszą przyczyną, która wzmogła niechęć „Afrykanów" do gabinetu Mendès-France'a były rosnące wpływy kapitału amerykańskiego po tej stronie morza Śródziemnego.*

*Nacjonaliści afrykańscy chętnie widzą tę wzmagającą się konkurencję, chociaż prosty Arab czy Berber w dalszym ciągu pozostaje głodny. Nie zawsze stać go na ulubioną potrawę kus-kus. Kiedyś pod panowaniem tureckim żyło mu się znacznie lepiej. Dzisiaj gospodarka upada coraz bardziej. Zwłaszcza uprawa roli ma niejednokrotnie charakter ekstensywny; tania siła robocza bardziej opłaca się od kosztownych maszyn. Aż wstyd powiedzieć, że np. za czasów Marka Aureliusza było więcej wodociągów i zbiorników wody niż obecnie a produkcja pszenicy i oliwek osiągnęła najwyższy poziom w roku... 700, gdy Arabowie wtargnęli na półwysep Iberyjski.*

# Zakończenie stanu wojny z Niemcami

*(Dokończenie ze str. 3)*

giego. Ten punkt zostanie niewątpliwie rozwinięty obecnie w całej serii aktów prawa wewnętrznego oraz w konkretnych umowach międzynarodowych.

Zagadnienia wynikające z tego punktu dekretu są normalnie rozwinięte bardzo szczegółowo w licznych rozdziałach traktatu pokoju. Dopóki nie zostanie zawarty traktat pokoju z Niemcami, każde państwo, kończące stan wojny z Niemcami, reguluje tę problematykę częściowo w płaszczyźnie prawa wewnętrznego, częściowo w płaszczyźnie dwustronnych umów międzynarodowych. Jest rzeczą oczywistą, że ten punkt nie dotyczy zmiany stosunku do zbrodniarzy wojennych, zarówno już skazanych, jak jeszcze oczekujących na słuszną karę za zbrodnie wojenne popełnione podczas wojny hitlerowskiej.

Szczególnie interesujący jest punkt 3 dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, który stwierdza, że zakończenie stanu wojny z Niemcami nie zmienia ich zobowiązań międzynarodowych i nie narusza praw i obowiązków ZSRR, które wypływają z istniejących porozumień międzynarodowych między czterema mocarstwami, dotyczących Niemiec jako całości. Warto tutaj dodać, że we wstępie do tego dekretu znajduje się następujący zwrot: „Na konferencji poczdamskiej w 1945 roku określone zostały drogi dalszego rozwoju Niemiec jako jednolitego pokojowego i demokratycznego państwa oraz potwierdzona została konieczność zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami". Użyty w punkcie 3 zwrot o umowach międzynarodowych dotyczących „Niemiec jako całości" — jest podstawowym zwrotem, wziętym z umowy poczdamskiej.

Analiza aktów międzynarodowo-prawnych dotyczących Niemiec wykazuje bez żadnych wątpliwości, że pod pojęciem „Niemiec jako całości" — należy rozumieć to terytorium niemieckie„ które z mocy aktów czterech mocarstw z dnia 5 czerwca 1945 r. oraz umowy poczdamskiej z dnia 2 sierpnia 1945 r. podlegało jurysdykcji Sojuszniczej Rady Kontroli nad Niemcami.

Nie wolno wszakże nie dostrzegać, że pojęcie Niemiec skomplikowało się pod względem politycznym w 1949 roku, z chwilą utworzenia Niemieckiej Republiki Związkowej przez trzy mocarstwa zachodnie oraz z chwilą proklamowania Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jest to jednak komplikacja pozorna. Na pojęcie Niemiec w zakresie prawa międzynarodowego zasługuje tylko państwo niemieckie reprezentowane przez taki rząd niemiecki, który stoi na stanowisku uznania i wykonywania umowy poczdamskiej. Jest to jedyne kryterium oceny, czy termin „Niemcy" jest użyty w sposób właściwy. Niemiecka Republika Demokratyczna stoi bez zastrzeżeń na gruncie uznania i wykonania postanowień umowy poczdamskiej. Dotyczy to więc także i traktatu pokoju, a co z tym się wiąże i zakończenia stanu wojny. W tych warunkach sprawa uznania albo odmowy uznania rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, jak również obliczanie — ile państw ją uznaje, a ile państw odmawia tego uznania nie jest zagadnieniem istotnym. Istota sprawy może być ujmowana tylko ze stanowiska aktów międzynarodowo-prawnych czterech mocarstw z 1945 roku. Z tego zaś stanowiska zagadnienie reprezentatywności, legalności i uznania rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej sprowadza się do odpowiedzi jednoznacznej — pozytywnej. Tylko ten rząd może być uznany za legalny, który działa na zasadzie aktów prawnych czterech mocarstw z 1945 roku.

W tym sensie można sformułować tezę, że zakończenie stanu wojny z Niemcami — to wykonanie umowy poczdamskiej.

W świetle takiego rozumowania zrozumiałe jest w pełni zarówno Oświadczenie Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w sprawie pokojowego uregulowania problemu niemieckiego z dnia 1 lutego br. jak i wspomniana Uchwała Rady Państwa z 18 lutego br. Oświadczenie i Uchwała nawiązują do oświadczenia rządu ZSRR z 15 stycznia br. w sprawie Niemiec i do dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z dnia 25 stycznia br. Jest w tym zarówno logika polityczna, jak i prawna — ZSRR jest bowiem głównym mocarstwem, które przyczyniło się do rozbicia Rzeszy hitlerowskiej, do zwycięskiego zakończenia wojny z hitlerowską Rzeszą, mocarstwem, które nadało w umowie poczdamskiej właściwy i słuszny kierunek polityce okupacji i kontroli Niemiec i które tę politykę w części Niemiec z powodzeniem zrealizowało. Jest więc rzeczą oczywistą, że te dwa nowe akty rządu ZSRR i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR stworzyły nowe możliwości — jak to określa oświadczenie naszego rządu — „porozumienia co do podstawowego problemu politycznego w Europie jakim jest sprawa Niemiec i co do normalizacji stosunków europejskich".

Oświadczenie rządu polskiego z dnia 1 lutego br. podkreśla, że Polska z racji swego bezpośredniego sąsiedztwa z Niemcami i swych wiekowych doświadczeń historycznych jest głęboko zainteresowana w usunięciu źródeł napastniczych wojen, których inspiratorem i organizatorem był militaryzm niemiecki. Jednocześnie Polska jest równie zainteresowana w ułożeniu przyjaznych stosunków z sąsiadującym z nią narodem niemieckim — w oparciu o granicę na Odrze — Nysie Łużyckiej. Z tych przesłanek wychodząc rząd polski stwierdza, że Polska pragnie przyczynić się do pokojowej stabilizacji stosunków w Europie i normalizacji swych stosunków z Niemcami. Kierując się tymi przesłankami rząd polski zwrócił się do Rady Państwa PRL z wnioskiem o powzięcie uchwały o zakończeniu stanu wojny między Polską i Niemcami.

Rząd czechosłowacki nawiązując do oświadczenia rządu ZSRR w sprawie Niemiec z dnia 15 stycznia br. stwierdził, że ta inicjatywa radziecka wytycza nowe drogi do pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego.

Precyzując swoje stanowisko rząd czechosłowacki stwierdził, że obecna sytuacja na odcinku Niemiec jest zupełnie anormalna. Niebawem upłynie 10 lat od momentu zakończenia działań wojennych, a stan wojenny z Niemcami trwa i nie można doprowadzić do zawarcia traktatu pokoju. Trzy mocarstwa zachodnie przekształcają znaczną część terytorium Niemiec na bazę wojenną dla celów nowej, agresywnej wojny. Czechosłowacja, pragnąc położyć kres tym nienormalnym stosunkom, i nawiązując do swych przyjaznych stosunków z Niemiecką Republiką Demokratyczną postanowiła dążyć konsekwentnie do rozbudowania przyjaznych stosunków z całym narodem niemieckim. W szczególności Czechosłowacja pragnie rozszerzyć stosunki gospodarcze i kulturalne z Niemiecką Republiką Związkową — stosunki dotąd bardzo ograniczone. Wychodząc z tych założeń rząd czechosłowacki postanowił zakończyć stan wojny z Niemcami.

*Alfons Klafkowski*

# 40-lecie pracy twórczej JERZEGO SZANIAWSKIEGO

*JERZY Szaniawski, obchodzący w tym roku 70-lecie urodzin i 40-lecie pracy twórczej, jest najwybitniejszym z naszych żyjących pisarzy dramatycznych.*

*Urodzony w r. 1885, studiuje w Genewie. Od r. 1917 zapoczątkowuje dramatem „Murzyn" długi szereg swych sztuk, którymi odtąd nieustannie zasila polskie sceny. W latach dwudziestych powstają dramaty i sztuki: „Papierowy kochanek", „Ewa", „Lekkoduch", „Ptak" oraz powieść „Miłość i rzeczy poważne" i zbiór nowel: „Łgarze pod złotą kotwicą"; w latach trzydziestych — „Adwokat i róże", „Żeglarz", „Fortepian", „Most", „Krysia", „Krzyk w lesie". W r. 1931 Szaniawski otrzymuje państwową nagrodę literacką, w r. 1934 zostaje członkiem Polskiej Akademii Literatury.*

*Po wojnie, w r. 1947 poważnym teatralnym wydarzeniem staje się wystawienie „Dwóch teatrów" Szaniawskiego z włączonymi w tę sztukę dwiema jednoaktówkami „Powódź" i „Matka". W tym samym roku miasto Kraków przyznaje mu swą nagrodę literacką. Szaniawski drukuje również po wojnie nowele i opowiadania oraz wnikliwe studia teatralne, poświęcone m. in. Osterwie i „Reducie".*

*Swą twórczością dramatyczną Jerzy Szaniawski nawiązuje do teatru Tadeusza Rittnera. Z realistyczną*

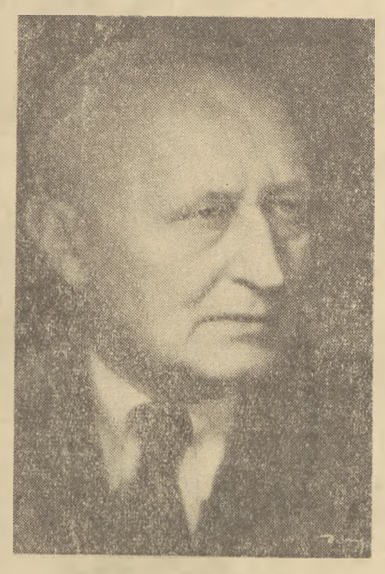

*obserwacją życia łączy silne elementy liryzmu. Ta dwoistość staje się niejako programem i metodą twórczą Szaniawskiego. Wprowadza on na scenę codzienne, szare postacie, aby na dnie ich dusz odkrywać głęboko ludzkie tęsknoty i dramatyczne konflikty. Szaniawski jest mistrzem nastroju, dla wytworzenia którego posługuje się znakomicie niedomówieniem, pauzą, przemilczeniem. Jest artystą szukającym — przy nadzwyczajnej ekonomii środków, przy wielkiej prostocie akcji i dialogu, przy świetnym opanowaniu techniki scenicznej — coraz nowego artystycznego wyrazu. Wzniosłości moralnej i uczuciowej atmosfery swych dramatów nie osiąga nigdy kosztem realizmu czy wewnętrznej prawdy postaci. Pod realizmem szczegółów i sytuacji znajdujemy jednak w dziełach tego pisarza zawsze drugie dno: ukryty głębszy sens przenośny, artystyczną syntezę filozoficzno-poetycką.*

*Tym bardziej cieszymy się z zapowiedzianego na ten rok w Teatrze Polskim wznowienia „Żeglarza", jednej z najpiękniejszych sztuk Jubilata, w której może najwyraźniej wypowiada on swój poetycki program. Wrócimy jeszcze w jednym z najbliższych numerów do Jego bogatej twórczości, dziś zaś życzymy Czcigodnemu Jubilatowi z całego serca — ad multos annos!*

KONRAD EBERHARDT

# RZECZ O GODNOŚCI POETY

*Daleki jest zakrystii*
*stary dach schylony*
*Litery ksiąg gotyckie,*
*misterne winiety*
*Za oknem mruczy Londyn,*
*obcy, upragniony*
*Złe miasto, w którym nie ma*
*miejsca dla poety.*

WIERSZ zaczynający się tą właśnie zwrotką, zatytułowany „Chatterton" przechodził dziwne koleje losu. Odnalazłem go w starych „Wiadomościach Literackich" podczas mrocznych dni okupacji, zanim jeszcze poznałem dramat Alfreda de Vigny, poświęcony tragicznemu, angielskiemu poecie. Wiersz Felicji Kruszewskiej zachwycił mnie wtedy, a sylwetka Chattertona, którą w wyobraźni mojej zarysował, pozostała już na długo w pamięci. Po powstaniu warszawskim wśród wielu szpargałów zalegających podłogi odnalazłem ten właśnie numer „Wiadomości Literackich" stratowany butami nieznanych mi ludzi. Ale wiersz ocalał. Nowe wrażenia odsunęły go na sam brzeg pamięci. Niemniej gdy dowiedziałem się, że teatr Ateneum zamierza wystawić dramat Alfreda de Vigny „Chatterton" — stary wiersz powrócił do dawnej godności. Może dlatego również na postać mało znanego u nas angielskiego poety zamordowanego obojętnością społeczeństwa — patrzyłem jak na dawnego znajomego. Raczej należałoby powiedzieć, że zawarłem z nim znajomość w innych warunkach. W wierszu Kruszewskiej widzieliśmy tylko dzbanek na poddaszu otoczoną jak aureolą świetlną, kręgiem przedśmiertnych marzeń. U de Vigny miłość do Kitty Bell wzbogaca ostatnie chwile poety, galeria ludzi jest szersza. Nie pojawiają się tutaj wizje Harolda i króla Aella, sir Wiliama Canninga i księdza Tomasza Rowley —

*I w pas mu się kłaniają,*
*pod ręce go wiodą*
*Poeta Tomasz Rowley*
*w płaszcz go swój obleka*
*W złym mieście, młody panie,*
*stanąłeś gospodą*
*Pozwólże z nami w drogę.*
*Czas nagli. Bóg czeka.*

Nie, zamiast tych znakomitych gości poznajemy ponurego przemysłowca Johna Bell, pustych, młodych arystokratów, ograniczonego umysłowo lorda - majora Londynu Beckforda. Ale za to na tym tle śmierć poety nabiera głębszej wymowy...

Zapoznanie się z „żywym" Chattertonem nastąpiło w bardzo sympatycznych okolicznościach. To, co cechowało przedstawienie w teatrze Ateneum — to skromność i prostota; inscenizatorzy nie silili się, aby zrobić „wydarzenie teatralne", „postawić" wielkie role itd. — całość była zharmonizowana, spokojna i oddziałująca naturalnym urokiem. Jest to zasługą trafnej koncepcji inscenizacyjnej i właściwej reżyserii Jerzego Kalinowskiego, tłumacza sztuki Alfreda de Vigny. Właściwy klimat stworzyła już oprawa plastyczna Zenobiusza Strzeleckiego, którego gubią czasem pokusy jaskrawych barw, krzyczące skojarzenia kolorystyczne. Tutaj stonował swoją paletę, dał wnętrze proste nie przeładowane zbędnymi realiami „z epoki". Odszedł na szczęście od niezbyt szczęśliwego precedensu „Wesela Figara" z jego hiszpańskimi elementami... Celowe było również, w trzeciej odsłonie podniesienie poziomu sceny w izdebce na poddaszu.

Sam de Vigny określał akcję swego dramatu jako „wewnętrzną". Istotnie na scenie dzieje się niewiele w odróżnieniu od innych dramatów romantycznych przeładowanych postaciami, o splątanej intrydze, pełnych melodramatycznych gestów i patosu. Na tym tle kameralny „Chatterton" robi wrażenie jakiejś dramatycznej etiudy. Lecz dzięki temu trudniej ożywić działające w nim postacie. Konflikt nakreślony w nim został kilk ma tylko kreskami, bohaterowie tego utworu „wsiąkli" niejako do wewnątrz, na zewnątrz pozostawiając jedynie skąpe desygnaty wewnętrznych treści. Myślę tu głównie o Kitty Bell i o samym poecie. Czy aktorska para Władysław Sheybal i Antonina Gordon-Górecka podołali tym zadaniom? Czy dramat ich wydobył się na zewnątrz poprzez skąpe słowa, jakie autor pozwolił im wypowiedzieć? Wydaje mi się, że odtwórczyni roli Kitty Bell miała jeszcze trudniejsze zadanie, jeszcze w większym stopniu powinna prostotę gry połączyć z wyrazistością. Antonina Górecka dzielnie dawała sobie radę, zawarła w swojej sylwetce wiele dickensowskiego uroku, ale to jeszcze nie wszystko. Postać tę trzeba jeszcze bardziej pogłębić, nie rezygnując ze słusznego ściszenia gry, z jej obecną prostotą. Władysław Sheybal ma wszelkie warunki, aby stać się dobrym, nawet bardzo dobrym bohaterem romantycznym. W roli Chattertona dał się poznać z najlepszej strony. Swoją młodzieńczość potrafił skojarzyć z porywczością, z temperamentem.

U nas zbyt łatwo aktor, kreujący romantyczną postać wpada w ślamazarność i rozlazłość. Sheybal był poetą męskim, świadomym swoich praw i miejsca w społeczeństwie. Dzięki niemu główna społeczna myśl oskarżycielska dramatu de Vigny nie uległa zaprzepaszczeniu, o co nie było trudno. „Chatterton" jest przecież dramatem o godności poety, którego w społeczeństwie pochłoniętym wytwarzaniem dóbr i gromadzeniem pieniędzy uważa się za darmozjada i piąte koło u wozu. Na pytanie tępego lorda-majora Londynu, jak wyobraża sobie swoją rolę w społeczeństwie, Chatterton, nakreśliwszy obraz okrętu, w którym wszyscy obywatele pełnią poszczególne ważniejsze i mniej istotne funkcje — poecie pozostawia najbardziej odpowiedzialną rolę: sternika całej nawy. Myśl ta odezwała się również u Słowackiego i błąkała się po całym romantyzmie europejskim. W odpowiedzi na swoją wzniosłą przemowę o poecie, duchowym kierowniku narodu — Chatterton otrzymuje od lorda-majora łaskawą nominację... na starszego lokaja. W tym miejscu filozofia spotkała się z historią i ekonomią. Sylwetka samotnej jednostki opuszczonej przez ludzi i przez Boga, tak często pojawiająca się w biblijnych i fantastycznych poematach de Vigny tym razem nie tracąc ani odrobiny tragizmu materializuje się w określonym momencie historycznym. Czyż inaczej jak nie wzgardą mogło zareagować młode, drapieżne społeczeństwo kapitalistyczne i sprzymierzona z nim arystokracja na pretensje młodego, zdrowego mężczyzny, któremu zachciało się grzebać w zetlałych średniowiecznych pergaminach, i w dodatku wynosić się ponad „pracujących w pocie czoła" obywateli? Przecież John Bell, właściciel fabryki podkreśla na każdym kroku, że on i jego rodzina pracuje bez wytchnienia. Za arystokrację pracują kapitały. Za Chattertona nikt nie pracuje, poezja przecież nie jest pracą — to zabawa. „W młodości wiele napisałem uciesznych figlików do pięknych dam" — mówi lord Beckford.

Dzisiaj mniej nas przejmuje tamniętna filipika Alfreda de Vigny w obronie godności poety — bardziej przejmuje nas sam nastrój i myśl osamotnienia człowieka, która przewija się przez karty francuskiego poety. W związku z tym, w programie teatralnym, tłumacz dramatu, Jerzy Kalinowski wdał się w zawiłe i nieprzekonywające rozważania z których wynika, że Alfred de Vigny nie miał nigdy nic wspólnego z tym, co nazwalibyśmy (aż wstyd przypuszczać!) religianctwem i tzw. „katolicyzmem". Według autora wstępu, de Vigny „religię i Boga przeciwstawił Człowiekowi". W ten to łatwy sposób p. Kalinowski obalił w kilku zdaniach dotychczasową wiedzę o pisarstwie de Vigny, która udowadniała, że właśnie w odróżnieniu od swych kolegów-romantyków czułostkowo i sentymentalnie religijnych — twórczość Alfreda de Vigny wyrasta z najgłębszych tradycji intelektualnych chrześcijaństwa. To, że na twórczość tę padł cień pesymizmu i tragizmu, nic nie szkodzi. I na to jest miejsce w katolicyzmie. Natomiast fakt ten dowodzi niezbicie, że de Vigny głębiej przeżywał sprawy, po których prześlizgiwali się inni poeci. Dlatego też nabrał u niego takiej głębi problem samotności człowieka, oddzielonego przepaścią niezrozumienia od innych ludzi i oddalonego od Boga. Ale to wcale nie znaczy, że Boga nie ma, tak jak wcale nie należy uważać surowej postaci kwakra z „Chattertona" za karykaturę, a jego głosu sumienia za obiekt ironii autora. Ma on właśnie pogłębiać tragiczny konflikt, dylemat między miłosierdziem boskim a ludzkim cierpieniem, między uczuciem człowieka a przeciwstawiającymi się mu często prawami sumienia.

Po spektaklu, zdania publiczności opuszczającej salę „Ateneum" były podzielone. Grupa starszych panów głośno wyrażała swoje oburzenie z powodu zmarnowania aż dwu i pół godziny czasu. To dobrze. Gorzej, gdyby ziewali. Widocznie zastrzyk poezji działa skutecznie, można go zwalczać w imię nawyków, przyzwyczajeń i uporu — ale nie można go zlekceważyć. Dowód to również na to, że apel o prawo dla poezji, który słyszeliśmy ze sceny nie jest tak zupełnie przebrzmiały.

*Konrad Eberhardt*

# NAD KSIĘGĄ niedokonanego wyboru

*(Dokończenie ze str. 5)*

w naszej epoce coraz bardziej (z przyczyn jak najsłuszniejszych) upowszechnia się społeczny sposób przeżywania i oceniania zjawisk kulturalnych, coraz bardziej ważna w ocenie każdego zjawiska jest jego twórcza funkcja społeczna, natomiast wśród naszych młodych twórców współczesnej poezji katolickiej ciągle jeszcze za dostatecznie uprawniony uchodzi ten pogląd na poezję, który każe ją uważać niejako za własność prywatną, za wartość, do której społeczeństwo nie ma rzekomo żadnych praw współtwórcy, a korzystać może li tylko z łaski wspaniałomyślnego poety.

Dotykając tej sprawy, dotykam — w moim przekonaniu — najistotniejszej bolączki, najistotniejszej słabości w postawie twórczej młodych poetów katolickich. Nie wolno się cofnąć przed nazwaniem tej słabości po imieniu. Jest to — zaryzykujmy maksymalnie wyraziste określenie — posunięta do niedopuszczalnego minimum redukcja odpowiedzialności moralnej za swoje dzieło, za jego funkcję społeczną, za jego obiektywny, w życiu społecznym sprawdzony sens istnienia. Jest to — pokuśmy się o jeszcze jedną precyzję — egotyczne zawężenie pojmowania swojej roli w życiu społecznym, w kontaktach międzyludzkich.

„Światopogląd? Funkcja społeczna? Komunikatywność? Drobiazgi! Zostawmy to ponurym pryncypialistom. My jesteśmy po to, aby świat nas kochał, starał się zrozumieć, podnieść ku nam".

Przejaskrawione? Troszeczkę. Ale prawdą — w moim przekonaniu — pozostaje fakt, że jednym z zasadniczych powodów zwężonego pojmowania poznawczych walorów poezji, spłyconego rozumienia jej funkcji społecznej, wulgarnego interpretowania postulatu dojrzałej komunikatywności, jest egotyczne traktowanie poezji czy talentu poetyckiego jako prywatnej własności psychicznej, a nie traktowanie jej jako depozytu, który został dany dla oddania, dla pomnożenia i zwielokrotnienia społecznego, nigdy zaś dla sybaryckiej konsumpcji.

Oczywiście, zarzut ten — zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że jeden z najpoważniejszych, jakie można w ogóle postawić — nie dotyczy wszystkich, a już na pewno nie dotyczy wszystkich w jednakowej mierze. Pozostaje jednak zarzutem określającym moralne przyczyny ogólnego stanu młodej poezji.

VI

ODPOWIEDŹ na to pytanie powinna być jednoznaczna w każdym z nas. Oczywiście, każdy z nas realizować musi społeczny sens tej odpowiedzi na miarę rozwoju swojej świadomości, na miarę swoich ambicji i możliwości swojego sumienia.

Każdy z almanachowych poetów i każdy z czytelników, a przede wszystkim każdy z krytyków almanachu ustalić musi, w jakim stopniu to, co chcemy kochać i cenić jako współczesną poezję katolicką, dorasta do rangi tego określenia właśnie stopniem rozwoju świadomości twórców, skalą ich ambicji, wrażliwością ich sumienia.

Najwyższy czas, aby poetów i poezji nie traktowano jako marginesu życia literackiego. I tak już źle się dzieje, że wielu — nawet utalentowanych — almanachowców właściwie flirtuje tylko ze swoją Muzą, bawi się w poezję. Trzeba przywrócić wypowiedziom poetyckim ich istotną godność, ich rolę poznawania świata przez wzruszenie.

Przede wszystkim troską o tę godność naszej młodej poezji tłumaczy się bolesny, miejscami brutalny ton tego artykułu.

Lepiej zadrażniać indywidualne ambicje, niż usypiać własne i cudze sumienia.

*Zygmunt Lichniak*

# recenzje·recenzje·recenzje

## Czytać — nie czytać? —

**Artur Międzyrzecki: Wieczory Muranowskie. PIW. Warszawa. 1954, str. 197.**

„Wieczory Muranowskie" są właściwie jedną wielką gawędą o książkach, a bardziej jeszcze — o ludziach i sprawach ludzkich w nich opisanych. Międzyrzecki wstąpił tu w ślady zapamiętałych szperaczy-bibliofilów — od Załuskiego do Tuwima — którzy nie żałują czasu ni trudu na odnalezienie, odcyfrowanie pozornie niezbyt ważnych wiadomości, charakteryzujących jednak w sposób wyjątkowo celny dawne czasy.

W tym celu i Międzyrzecki zapuszcza się w czasy Insurekcji Kościuszkowskiej, wgłębia się w dzieje walecznego pułku Czwartaków z Powstania Listopadowego, zamienionego później na Gromadę Grudziąż i Humań, rozmyśla nad polskimi edycjami Manifestu Komunistycznego. Ale w doborze takich — pozornie różnorodnych — tematów dla swoich gawęd przebija jednolicąca je intencja autora: chęć odczytania ze starych książek i dokumentów prawdy o rzeczywistości społecznej Polski wieku XVIII i XIX, Polski Kilińskich i Czartoryskich. Taka prawda nie jest łatwa do zrozumienia i do... przyjęcia, ona też niewątpliwie wpływa na surowy kształt wypowiedzi Międzyrzeckiego, na jego usuwanie się w cień poza cytaty umiejętnie dobrane i zestawione.

Byłoby to okolicznością łagodzącą — nie wszystko bowiem w „Wieczorach Muranowskich" można wybaczyć Międzyrzeckiemu — artyście. Brak w tych gawędach jakiegoś najogólniej pojętego ładu, koniecznego przecież nawet i w tym — tak swobodnym kompozycyjnie — gatunku literackim. Przyczyna jest jasna: Międzyrzeckiemu szkoda po prostu pozostawić niezużytkowaną każdą, zdobytą z takim mozołem, wiadomość i ciekawostkę. Oczywistym dowodem tego, zrozumiałego zresztą najzupełniej, żalu jest chociażby szkic „Roczniki z kawiarni Paraviciniego", w który Międzyrzecki pakuje, a raczej wypakowuje wszystko, cokolwiek ciekawego przeczytał i zasłyszał. Takie *silva rerum*, odpowiednie może dla „Świata" — gdzie się szkice Międzyrzeckiego początkowo ukazywały — razi jednak w edycji książkowej.

Książka Międzyrzeckiego jest jednak — mimo swych artystycznych braków — ciekawą lekturą dla poszukiwaczy i miłośników przygód wśród książek. Czekamy zatem na nową serię „Wieczorów Muranowskich" — znowu w starannej oprawie edytorskiej i ilustracyjnej PIW-u!

*Zbigniew Pędziński*

**Ludwik Jerzy Kern: Tu są bajki Wyd. Literackie Kraków 1954, s.127 Wyd. II**

Jeśli lekturę „Przekroju" zaczynamy od ostatniej strony, w pięćdziesięciu wypadkach na sto dzieje się tak dlatego, że co tydzień na ostatniej stronie Ludwik Jerzy Kern opowiada nową bajkę. Bajka jest niby o zwierzętach i o ich życiu, w istocie zmusza do refleksji nad naszymi, ludzkimi sprawami — każe perypetie lwa czy kota stosować do bliźnich lub — w skrytości ducha — do samych siebie.

Na czym opiera się popularność bajek Kerna, której najlepszym dowodem jest choćby drugie wydanie książkowe?

Kern jest pisarzem odważnym, skoro nie lękał się zamknąć swojej muzy w granicach gatunku literackiego o nie lada tradycjach w literaturze polskiej, ale od czasu Benedykta Hertza będącego prawie na wymarciu, zwłaszcza jeśli chodzi o poziom artystyczny. Wiemy, że ta odwaga opłaciła się bardzo, gdy takie zwroty, jak „Cóż, i między psami są ludzie, tak jak między ludźmi są psy", nabrały wagi aforyzmu, nieledwie przysłowia.

Kern bierze zwroty z języka potocznego, wplata do mowy wiązanej, a przez kontekst słowny i sytuacyjny w dodatku je odświeża, dodaje im nowych barw. Dowcip takiego rozwiązania jest przedni i nadaje rumieniec życia morałowi bajki, przekonując o jego (morału) praktycznej, a nie tylko teoretycznej słuszności.

Przy lekturze bajek Kerna termin „inwencja tematyczna" przestaje być pobożnym życzeniem krytyka. Jest to tym radośniejsze, że każdy pomysł ubiera Kern w inną szatę stylistyczną i wersyfikacyjną, nie zbaczając na manowce autoimitacji. Niewątpliwie niektóre parafrazy Lafontaine'a udawały się lepiej na przykład Trembeckiemu („kogut, kot i myszka"), ale Trembecki nie pisywał o bikiniarstwie czy kociakach.

Istotną zasługą Kerna jest zatem przyzwyczajanie czytelnika do dobrej poezji i satyry, ściśle związanej ze współczesnością, a pielęgnującej najlepsze tradycje.

*Zbigniew Pędziński*

## Chcemy czytać o tańcu

„Stoję przed kioskiem „Ruchu" i rejestruję wzrokiem liczne tytuły dzienników, tygodników, miesięczników — szeroko rozwinęło się nasze czasopiśmiennictwo w okresie ostatnich 10-ciu lat! Niemal każda dziedzina życia ma już swą prasę fachową i zainteresowany czytelnik może się z niej dowiedzieć o wszystkich zdobyczach, osiągnięciach, brakach, zamierzeniach i projektach w swym zawodzie, może się sam wypowiedzieć, wziąć udział w dyskusji. Spójrzmy tylko na tytuły, których różnorodność mówi dobitnie o wzroście potrzeb naszego czytelnictwa: „Łowiec Polski", „Motor", „Świat Mody", Fotografia", „Sportowiec", „Szkoła i Dom", „Wszechświat", „Miasto", „Kultura Fizyczna", „Szachy" itd.

A z dziedziny artystycznej? Wprawdzie „Przegląd Kulturalny" już dawno stwierdził, że „nie ma dziś ani jednej dziedziny sztuki bez własnego pisma fachowego", ale zapomniał widocznie o choreografii lub nie zaliczył jej do sztuk pięknych. To przeoczenie ma głębszą wymowę, wynika bowiem z ogólnego niedocenienia zagadnień tanecznych.

Próżno byś, pilny czytelniku, szukał wśród tego bogactwa tytułów najskromniejszego choćby kwartalnika czy miesięcznika, zawierającego w swej nazwie słowo „taniec". I ten brak musi ci nasunąć pytanie: dlaczego tak jest? Dlaczego ta właśnie sztuka, jedna z najbardziej popularnych i tak żywo, bezpośrednio przemawiająca do odbiorcy nie doczekała się dotychczas swego pisma?

Sprawa stworzenia specjalnego czasopisma choreograficznego (chociażby na razie w formie dodatku do innego periodyku artystycznego) była już wielokrotnie poruszana w prasie, która gościnnie, a z konieczności dość rzadko, udzielała swych łam dla tych zagadnień. Czyż raz jeszcze i jeszcze, aż do skutku trzeba powtarzać utarte argumenty o potrzebie fachowego pisma, zastępującego chociażby w skromnej mierze kompletny brak literatury choreologicznej w Polsce?

Z kiosku przejdźmy teraz do księgarni i rozejrzyjmy się w poszukiwaniu książek z tej dziedziny. Powita nas uprzejme zdziwienie sprzedawców, że zgłasza się klient z tak nierealnym żądaniem. Literatura o tańcu? Ukazało się wprawdzie w ostatnim pięcioleciu kilka książek, ale ich nakłady są już od dawna wyczerpane. Oto skromny rejestr:

1. A. Waganowa: „Zasady tańca klasycznego", podręcznik dla pedagogów w tłumaczeniu Olgi Sławskiej, PWM 1952 r.
2. M. Wąsiakowa: „Rytmika", podręcznik dla pedagogów, PWM 1951 r.
3. Z. Kwaśnicowa: „Polskie tańce ludowe Mazur", podręcznik dla nauczycieli tańca ludowego, Nasza Księgarnia, 1953 r.
4. F. Zozula: „Tańce ludowe", podręcznik świetlicowy, Nasza Księgarnia, 1952 r.
5. Z. Majewiczowa: „Krakowiak" — podręcznik świetlicowy, Wydawnictwo Gł. Kom. Kultury Fizycznej, 1951 r.
6. Lukian z Samosaty: „Dialog o tańcu" w przekładzie i opracowaniu prof. J. Reissa, Wydawnictwo Meandra.
7. I. Turska: „Balet rosyjski i radziecki", popularna broszurka z serii „Opera słowiańska", Wiedza Powszechna.

Ilość pozycji, jak na okres 10-letni, nader skromna, tematyka dość ograniczona, charakter przeważnie podręcznikowy. Ani jednej solidnej monografii, ani jednego przekładu klasycznych dzieł z zakresu historii i estetyki tańca.

A na naszym krajowym rynku księgarskim wciąż głucho! I nie wydaje się, by sprawa ta ruszyła z miejsca dopóki choreografa nie otrzyma zaplecza naukowego w postaci ośrodka badawczego, związanego organizacyjnie z Państwowym Instytutem Sztuki. Ośrodek ten powinien przede wszystkim zająć się sprawą opracowania dziejów polskiej choreografii (baletu, tańca ludowego, mieszczańskiego i dworskiego), wykorzystując bogactwo informacji, utajonych w osobistych wspomnieniach, wiadomościach choreografów i tancerzy starszego pokolenia. Ileż na przykład cennego materiału kryją w sobie wspomnienia nestora polskiego baletu, przeszło 80-letniego Michała Kuleszy, które bezwzględnie powinny być spisane; okres jego działalności artystycznej to kronika 50 „tłustych" lat naszego baletu!

A tymczasem życie taneczne idzie wciąż naprzód. Szeroko rozwija się ruch amatorski, przyciągając coraz szersze rzesze do spraw bezpośrednio z tańcem związanych, — powstają zawodowe zespoły pieśni i tańca, a przy nich ośrodki szkoleniowe, — mamy w planie dalszy wzrost ilości teatrów operowych, — napływają szybko młode kadry taneczne, żądne wiedzy o przeszłości historycznej i aktualnych problemach swego zawodu. To są chyba żywe argumenty, dostatecznie silnie przekonywające o tym, iż sprawa piśmiennictwa choreologicznego najzupełniej już dojrzała.

A ponadto — czyż oprócz zamkniętego (a rozszerzającego się w szybkim tempie) grona fachowców — literatura ta nie znajdzie szerszego kręgu odbiorców? Wszelkie widowiska i imprezy taneczne cieszą się wielką frekwencją i sympatią publiczności. Dowodzi to zainteresowania sztuką taneczną ze strony szerokich mas, które na pewno chciałyby dowiedzieć się o niej czegoś więcej, chciałyby czytać o tańcu.

Irena Turska

## NOTATNIK KONKURSOWY

*ROZPOCZĘŁY się już pierwsze eliminacje V Konkursu. We wtorek o 10,20 rano przedstawicielka Iranu Tania Achot zgodnie z regulaminem konkursowym przewidującym przesłuchania kandydatów w kolejności alfabetycznej zainaugurowała jedną z największych batalii pianistycznych świata. Odtąd dwa razy dziennie do 6-go marca odbywać się będą przesłuchania pierwszego etapu obejmującego obowiązkowe wykonanie jednego nokturnu, dwóch etiud, jednego utworu dowolnego oraz jednego poloneza z 3-ch wybranych.*

*Już pierwszy dzień eliminacji przyniósł ciekawe obserwacje i wnioski. Dnia tego słuchacze zebrani w sali Filharmonii Narodowej, w salach transmisyjnych i przy głośnikach radiowych spotkali osiem różnych interpretacji Chopina. Tak Iranka Tania Achot, Ekwadorczyk Eduardo Alvarado, pianistka fińska Ritva Arjava, jak Władimir Aszkenazi (ZSRR), Mireille Auxietre (Francja), Liniana Bainova (Bułgaria), Dagmar Baloghova (Czechosłowacja), czy György Banhalmi (Węgry), zaprezentowali odmienne style interpretacyjne, bardzo nieraz odbiegające od stylu polskiej szkoły pianistycznej. Wstrzymując się od oceny tych różnych sposobów rozumienia muzyki Chopina stwierdzić trzeba, że już pierwszy dzień przesłuchań przyniósł niewątpliwie niesłuszne interpretacje jak i interpretacje odkrywcze i ciekawe.*

*Konkurs dopiero się zaczął. Pierwsze uderzenia wskazują jednak, że poziom tegorocznej imprezy jest wyrównany i wysoki. Że wśród ekip zagranicznych nie brak w tym roku dużych talentów, pianistów mimo młodego wieku świetnych technicznie i dobrze do konkursu przygotowanych. Najlepszym przykładem może tu być siedemnastoletni pianista radziecki Władimir Aszkenazi, którego wykonanie etiudy c-dur z op. 10, czy walca as-dur z op. 34 zaliczyć należy do znacznych osiągnięć pianistycznych.*

*Przy takiej konkurencji polscy kandydaci nie będą mieli łatwej drogi do finału, a zdobycie przez nich którejś z nagród, lub miejsca punktowanego uznać należy za duży sukces. Najbliższe dni wykażą zresztą na tle kandydatów zagranicznych, jaki poziom reprezentuje 8-mioosobowa ekipa polska.*

*Piękne jest wnętrze nowej Filharmonii Narodowej. Piękna jest sala koncertowa, sale boczne, foyer, klatka schodowa. Miłośnicy muzyki z radością oglądają estetyczne rozwiązanie hallu, sali z pawiami, szatni. Natomiast z akustyką sali koncertowej, o której tyle pisano nie jest jednak tak dobrze.*

*Warto przypomnieć, że do drugiego etapu V-go Konkursu, przechodzi tylko ten pianista, który w pierwszym etapie otrzyma najmniej 16 punktów, więc ocenę równą dobremu wykonaniu.*

JAN KOWALSKI

# POSZUKIWANIA

Mario Negri (Włochy) 1952

Georges Rouault (Francja)

Henry Moore (Anglia) 1944

*NIE tak jeszcze dawno można było powiedzieć, że cechą nowoczesnego malarstwa religijnego jest to, że nie istnieje. Olbrzymia, niebotyczna ilość kiczowych oleodruków, która zalała i jeszcze stale zalewa cały świat (Polska zajmuje jedno z przodujących miejsc), wielka ilość paskudnych dekoracji nieszczęśliwie zdobiących wnętrza kościelne — to była namiastka sztuki, gorliwie propagowana przez wytwórców i z równą gorliwością przyjmowana przez olbrzymią masę wiernych.*

*Konsekwencje tego zalewu są wielkie i potworne. Szmira do tego stopnia zepsuła smak i nastawiła twórczość religijną na pewien kierunek — koniecznie ckliwy i naturalistyczny, bo to się podoba — że próby stworzenia nowoczesnego malarstwa kościelnego napotykają na zdecydowany opór nie tylko wiernych ale i kleru.*

*Przykłady wybitnych osiągnięć na tym polu na Zachodzie powstały właściwie dzięki indywidualnej, prywatnej niemal inicjatywie poszczególnych księży, obdarzonych nie tylko odwagą, ale odpowiednim zapasem gotówki.*

*Oprócz artystów, którzy zostali zdopingowani, zachęceni do wykonania monumentalnego obrazu, gobelinu czy witrażu dla wnętrza kościelnego, istnieje dość ograniczona ilość twórców malujących z własnych pobudek. Często twórczość ich jest ignorowana, nie są uznawani, nie akceptuje się ich prac dla dekoracji świątyń, mimo że są często bardzo szczere i malowane z wielką żarliwością.*

*Do niedawna podobna sytuacja była z najwybitniejszym współczesnym katolickim malarzem Georges Rouault. Witraże dla kościoła w Assy to pierwsze zlecenie po 40 latach jego pracy. Niestety, mimo że dziś już w większości uznany, Rouault nie miał okazji do wykonania jakiejś większej, bardziej całościowej kompozycji w kościele, a do tego chyba nikt inny nie jest bardziej przygotowany. Każdego roku setki partaczy projektują olbrzymie witraże, malują kolosalne ściany — Rouault nie miał nigdy takiej propozycji.*

*Paradoks ten jest tylko pozorny. Zastosowanie współczesnego malarstwa w kościele wymaga decyzji i pewnego ryzyka ze strony kapłana, który musi świadomie walczyć ze złym smakiem swoich parafian.*

*Rouault, to przykład klasyczny, gdyż jest malarzem na wskroś katolickim, który przez całe życie wyznawał swoje ideały. Dość często jednak zamówienie kościelne wykonuje artysta, stykający się z tematyką religijną po raz pierwszy. Taka sytuacja była z Matissem, Legerem czy Bonnardem w Assy. W podobny sposób powstał piękny tryptyk wybitnego niemieckiego malarza Emila Nolde, który do dziś jeszcze jest własnością prywatną jakiegoś kolekcjonera. W Anglii, wkrótce po zakończeniu wojny, dzięki inicjatywie miejscowego proboszcza, dwaj najbardziej znani plastycy — rzeźbiarz Henry Moore i malarz Graham Sutherland wykonali dwie prace dla kościoła w Northampton, które stały się wielkim wydarzeniem w angielskiej plastyce.*

*Moore jest autorem pięknej, monumentalnej rzeźby, przedstawiającej Madonnę z Jezusem; Sutherland namalował wielkie, wstrząsające „Urzyżowanie". Madonna Moore'a utrzymana jest właściwie w konwencji świeckich rzeźb i gdyby zamieniono tytuł na „Macierzyństwo", mogłaby być ustawiona w każdej normalnej galerii plastyki, niekoniecznie w kościele. „Ukrzyżowanie" Sutherlanda to kompozycja o charakterze na wskroś religijnym, dramatyczna i przejmująca.*

*Dochodzimy tu do założeń, do pewnych warunków, które muszą zaistnieć, aby jakieś dzieło malarskie uznać za rzeczywisty przykład nowoczesnej sztuki religijnej. Z pewnością nie będzie to sam temat obrazu, jego ilustracyjność. Z drugiej strony odpadają kryteria czysto formalne, jako niewystarczające przy takiej ocenie. Obraz musi posiadać pewien ładunek emocji, pewną specyficzną ekspresyjność, która odróżni go od dzieł czysto świeckich. Będzie to przykład tego, co Francuzi nazywają l'art engage — sztuki, która nie tylko korzeniami tkwi w pewnym przeżyciu, ale potrafi to określone przeżycie sugerować.*

*Dlatego to nie przypadek, że pierwsze nowoczesne przykłady malarstwa religijnego były dziełem malarzy - ekspresjonistów, jak Rouault czy Nolde. Dlatego spośród późniejszych przykładów zestawienie „Ukrzyżowania" Sutherlanda z obrazem Bonnarda w Assy — porównanie wypada na korzyść Sutherlanda. Św. Franciszek Bonnarda — rozmazana fioletowa postać na tle rozedrganego pejzażu — wcale nie odbiega od typu późniejszych prac tego malarza. Tutaj zmiana tytułu byłaby wystarczającym powodem, aby skierować skojarzenia widza w zupełnie przeciwną stronę, nie mówiąc o tym, że już sama technika Bonnarda nie bardzo nadaje się do monumentalnych dekoracji. Sutherland „na codzień" jest ekspresyjnym surrealistą, jeżeli tak można nazwać charakter jego obrazów. Doskonale potrafi wydobyć grozę, narzucić nastrój — posiada warsztat bardziej sprzyjający temu gatunkowi sztuki od post-impresjonistycznej techniki Bonnarda. Monochromiczna, sina postać Chrystusa na ciemno-purpurowym tle działa o wiele bardziej przejmująco i dosadnie niż tęczowe kolory Bonnarda.*

*Najwłaściwsze określenie na Rouaulta, który ma niewspółmiernie wyższą pozycję w świecie sztuki religijnej niż Nolde czy Sutherland, to dekoracyjny ekspresjonizm. Gruby, witrażowy kontur i odważna deformacja umożliwiają artyście wyrażenie uczuć z siłą i dosadnością nieznaną od czasów średniowiecza i wczesnego renesansu.*

Richard Seewald (Niemcy) 1952

*Być może Rouault scala w ten sposób dwa elementy ściśle związane z kościelnym malarstwem.*

*Dekoracyjność jego wynikała już choćby z charakteru ściennego malarstwa, z techniki witrażu. Ta monumentalna dekoracyjność odżywa w paru wybitnych współczesnych przykładach — w śmiałej mozaice Legera na fasadzie kościoła w Assy czy do pewnego stopnia w kaplicy Matisse'a.*

*Dekoracyjność mieści się w pojęciu sztuki kościelnej, jest jednym z jej składników. Rozety średniowiecznych katedr — w Chartres czy Reims — to kompozycje zupełnie abstrakcyjne, wpływające jednak w dużym stopniu bogatym kolorem na tonację całego wnętrza kościelnego.*

*Dekoracyjność malarstwa i rzeźby wypływała z chęci stworzenia sztuki syntetycznej — z zupełnego podporządkowania plastyki architekturze. Charakter rzeźby warunkowany był formą architektury — wysmukłe posągi w portalach gotyckich kościołów były kamiennymi słupami o stylizowanej, zniekształconej formie postaci ludzkiej. Intensywność i bogactwo witrażu doskonale podbijały surową i ascetyczną architekturę.*

*Z zagadnieniem równowagi pomiędzy plastyką a architekturą wiąże się problem indywidualności twórcy. Bezimienny artysta średniowiecza w małym stopniu ujawnia swoją indywidualność; przystosowuje się w zupełności do głównej koncepcji: rezygnuje często z wielu swoich praw na korzyść całości.*

*Nigdy jeszcze indywidualność twórcy nie doszła do głosu w takim stopniu, jak w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Artyście dekorującemu kościół trudno pozbyć się tego balastu, tak typowego dla całej współczesnej sztuki. Wydaje się zresztą, że eliminacja tej cechy byłaby niewłaściwa i wprost szkodliwa dla wartości malarstwa. Obiektywizacja sztuki — tendencja powszechna w całym postępowym malarstwie — absolutnie nie wyklucza indywidualności. O sprawach obchodzących wszystkich można mówić swoim własnym dialektem — wyjdzie to tylko na korzyść tym sprawom.*

*Dekoracyjność sztuki kościelnej narzuca jej pewną obiektywizację, ograniczenie własnej osobowości i każdy plastyk dekorujący kościół z góry musi przyjąć to ograniczenie. Ekspresjonizm — cecha wielu współczesnych religijnych obrazów, pozornie od tych założeń odbiega. Osobowość malarza-ekspresjonisty przesłonięta jest jednak treścią i emocją jaką pragnie wyrazić obrazem. Jest przez to bardziej komunikatywny, bardziej zrozumiały od malarza, który indywidualnie kontempluje rzeczywistość.*

*Współczesne malarstwo religijne korzysta z warsztatowych doświadczeń i osiągnięć nowoczesnego malarstwa. To nic dziwnego. Forma sztuki religijnej zawsze dowiązywała do zdobyczy malarskich pozwalających na najpełniejsze wyrażenie treści.*

*Jan Kowalski*

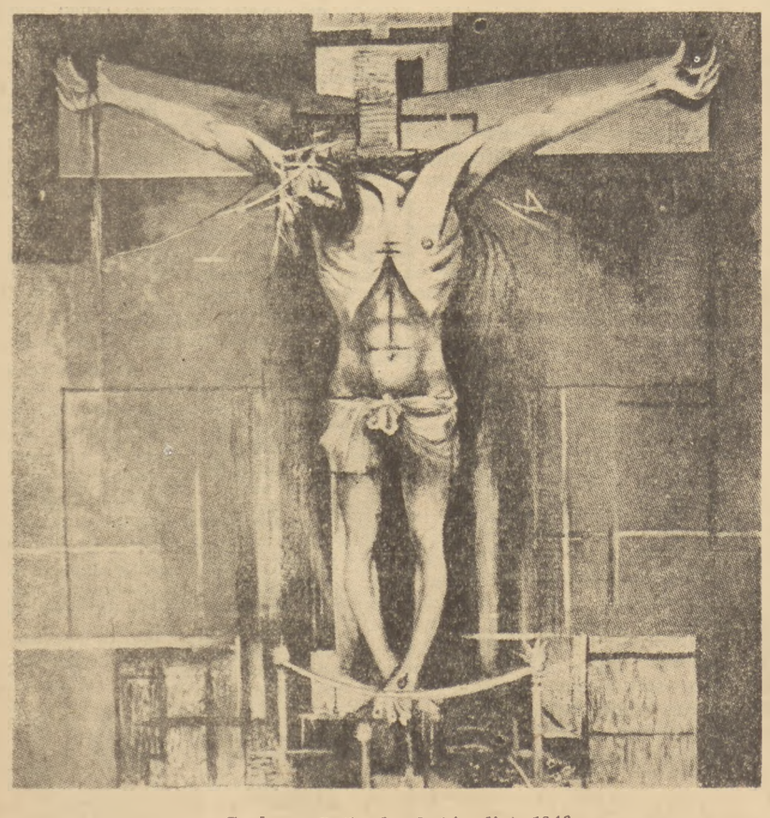

Graham Sutherland (Anglia) 1946

W. Geyer (Niemcy) 1953

Yves Alix (Francja) 1944

Yves Alix (Francja) 1944